Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Nr. 33 *Niedziela, dnia 15 sierpnia 1937 r.* Rok V

SIERPIEŃ



Po ścierniach spłowiałych od deszczów
i słońca
I po miedzach zielskiem kolorowym lśniących,
Grają polne koniki piosnki bez końca —
Przemili grajkowie w dniach letnich —
gorących.

W ogrodach orzechy zabłysły w leszczynie
Przejasnym brązem twardego jak stal ciała,
I dojrzały złoto - różowe brzoskwinie.
Przyroda symfonię kolorów zagrała...

Obok mej altany z jarzębin, kaliny
(Co zapłonęły jak usta dziewczęce),
U stóp ich rosnące zczerniały ożyny
I wplotły się w głogi w czerwonej sukience..

I wszędzie barwnie — jednak smutniej
niż z wiosną,
Bo to sierpień — przedostatni miesiąc lata.
Wnet wrzosy pod lasem bledziuchne wyrosną
I pożegna nas ptasząt rzesza skrzydlata.

Ada Gerulanka.

MARIA REUTT.

Ktoś ty? 1)

Powieść o burzach życia

Wspaniałą willę ongi kupca Szyszkina zajmował obecnie komisarz Pietrow.

Karjera jego była typowa.

Syn popa z Teofilipola na Wołyniu, kształcił się w seminarium nauczycielskim w Krzemieńcu. Wyrzucony stamtąd za komunistyczną propagandę, został pisarzem gminnym w Annopolu, koło Sławuty.

Niedługo tam popasał.

Wojna, przewrót bolszewicki — i pan Pietrow znalazł się w pałacu kupca Szyszkina, jako wszechwładny komisarz, znany ze swego okrucieństwa i bezwzględności.

Nie znał on nigdy co to litość wobec ofiar, które znalazły się w trybach rewolucji. Pietrow z sadystyczną uciechą przyglądał się mękom ofiar, sam znęcał się nad nimi. Ale ten potwór miał jedną „słabość" — a słabością tą była młoda i ładna niewolnica-zakładniczka, imieniem Danka.

Wywieziono ją wraz z innymi z Żytomierza, zabrano z matką z płonącego domu i popędzono w głąb Rosji. Miała wówczas lat siedemnaście. Wysoka, zgrabna, nad wiek rozwinięta fizycznie, ładna szatynka o złoto-kasztanowatych włosach, dużych, jasnopiwnych oczach, cerze matowej i ładnie wykrojonych, choć trochę za grubych wargach.

Gdy branki przypędzono do Orła i przedstawiono — młode oddzielnie — wygłodzone, wymęczone, wybrudzone w miejscowym „sojuzie" — gronu dostojników-komisarzy, zarechotali oni uciesznie.

— Ot krasawice — laszki! Do czyszczenia ustępów w miejscowej czerezwyczajce je przeznaczyć!

Najgłośniej zanosił się od śmiechu komisarz Pietrow, lecz gdy wzrok jego spotkał się, po raz pierwszy wtedy, z piwnymi oczami Danki, śmiech, co bulgotał mu w gardle, zamarł od razu.

Nacisnął dzwonek.

— Tę dziewczynę — wskazując na Dankę — niech wymyją w bani i odeślą do mnie — rzucił rozkaz „towarzyszowi-woźnemu", który stanął we drzwiach na wezwanie.

Inni zamilkli ze zdziwienia.

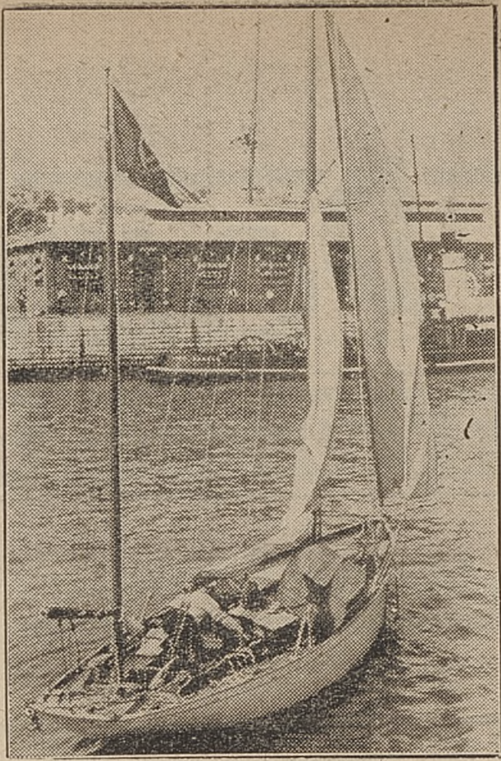
— Co tobie, Andriusza?...

— Upatrzyłem sobie tę. Wezmę ją do siebie, teraz — potem odeślę do roboty.

* * *

Gdy po marmurowych schodach wszedł do swego wspaniałego mieszkania zastał zakładniczkę umytą, uczesaną, zawiniętą w jakiś wzorzysty materjał.

Siedziała w dużym salonie skulona, wtulona w róg kanapy, z włosami luźno spadającymi na ramiona, z pobladłą twarzą i zmarszczoną brwią.



Niemiec kpt. Schlimbach wybrał się samotnie w łodzi żaglowej na podbój Atlantyku. Na zdjęciu żegla z ze swoją łodzią w porcie Lizbony.

Szedł ku niej, skradając się, a zarazem robiąc duże kroki.

Dziewczyna wcisnęła się mocniej w róg kanapy, jakby tam chciała się skryć przed nim. W oczach rozszerzonych zamigotał śmiertelny strach. Dopadł do niej, darł z ramion cienką materję i łakomymi wargami dorwał się do jej młodego ciała.

Broniła się jak umiała, gryzła go po rękach, wiła się w jego objęciu jak piskorz — lecz cóż mogła poradzić wymęczona, wygłodniała, wątła siedemnastoletnia dziewczyna w mocy zdrowego, silnego mężczyzny.

Nie broń się — szeptał przez zęby — bo zaduszę, jak inne...

* * *

Została jego kochanką, bezbronną niewolnicą i — jak się to często zdarza — sam kat zakochał się w swej ofierze bez pamięci.

Pokochał jej cudną urodę. Jej każdy ruch wzbudzał w nim zachwyt i pożądanie. Podziwiał jej wyniosłe obejście, imponowało mu jej wykształcenie, zachowanie się.

On, okrutny władca, brutalny i bezwzględny — stał się jej kornym niewolnikiem, łagodnym, oddanym i tylko od czasu do czasu jawna pogarda, którą mu okazywała, wywoływała w nim gniew, budziła zwierzę, drzemiące mu w duszy.

Mimo to stroił ją, obwieszał klejnotami, w których tak kochały się „kopczuchy" moskiewskie, a których on mógł narabować, ile chciał. Kosztowności otaczały jej szyję, najpiękniejsze materie, zdobyte w składach moskiewskich, ubierały ją. Wspaniałe futra — soboły, podbite gronostajami, otulały jej wysmukłą, giętką, a zarazem imponującą postać.

Gdy mu się opierała, brał ją przemocą i maltretował wtedy z zapamiętaniem.

Z początku próbowała go czasem zmiękczyć prośbami i groźbami samobójstwa, lecz gdy to nie skutkowało, a jej próby samobójcze zostały za każdym razem udaremnione, uspokoiła się i jakby pogodziła z losem, przynajmniej pozornie.

Zajmowała przepiękny apartament w pałacyku ongi bogatego kupca, Dywany rozścielały się na posadzce jej pokoju, jadała na najcieńszej starej porcelanie, stół jej zdobiły kryształy, gromadzone latami przez poprzednich właścicieli, srebra cyzelowane... Otaczał ją przepych i zbytek, zakochany komisarz spełniał każde jej życzenie — a jednak piwne oczy patrzyły zimno w dal, usta wyginały się w ironiczny grymas, a wyraz twarzy był zacięty.

— Gołąbko moja — modlił się do niej pieszczotliwie człowiek, w którego rękach było życie i śmierć tylu ludzi!

— Puść mnie do Polski — prosiła wtedy błagalnie, patrząc mu w oczy.

Lecz z twarzy jego znikało wówczas miłosne rozmarzenie, ustępując złemu, twardemu spojrzeniu niebieskich oczu.

— Nigdy! Tyś moja. Pożądam cię teraz. Gdy mi się sprzykrzysz, to wtedy wypędzę cię sam i jeżeli nie będziesz mnie drażnić, może pozwolę ci wrócić...

Zamierał błagalny wyraz na twarzy dziewczęcia.

* * *

Lała się krew dokoła. Rosja cała pławiła się w niej, padały w gruzy dwory i pałace, leciały w nicość wierzenia, tradycje, zasady. Zastępowano je nowymi dogmatami nowej wiary, w czerezwyczajkach ginęły tysiące winnych i niewinnych, których całą zbrodnią było, że posiadali wykształcenie, majątek lub stanowisko. A dni dla Danki szły jeden za drugim podobne do siebie. Przerywała ich monotonię muzyką, czytaniem książek francuskich i rosyjskich, w które obfitowała biblioteka willi, lub wizytami do krawcowej, bo komisarz żądał by się stroiła, by co dzień prawie chodziła w innej sukni.

Potężnym był komisarzem, stać go było na ładną i strojną kochankę, lubił miękkość i jedwabistość sukni w dotyku. Czasami odwiedzały ją żony i kochanki podwładnych komisarza, uprzejme, uniżone, podchlebiające — to znów komisarz zabierał ją do kina lub na wycieczki samochodowe.

W lecie pojechali na miesiąc do Ałupki na Krym. Mieszkali w dawnym carskim pałacu. Sypiali na łóżku cesarzowej-matki, myła się w srebrnej, pozłacanej miednicy wielkiej księżniczki Olgi, jadła winogrona i po całych dniach leżała w piasku nad morzem.

Wieczorem komisarz, o ile nie pił, siadał na tarasie i wygrywał jej na bałałajce cygańskie romanse.

Ile setek, dużo ładniejszych od niej, dziewcząt w tej samej Rosji zazdrościło jej wtedy, ile z radością zajęłoby jej miejsce, bo miłość była tania, a sprzedających ją za dużo mniejszą cenę, legiony całe.

Nie przeczuwały te, zazdroszczące jej dziewczęta, że oddałaby to szczęście i bogactwo, zamieniłaby z rozkoszą na skromny dworek w pewnym polskim Ochorowie, że uważała swoje „szczęście" tylko za hańbę i krzywdę.

* * *

Siedział w swym ponurym gabinecie w pałacu, siedzibie dawnego gubernatora, okna którego wychodziły na ogród, otoczony wysokim, szarym murem.

Podparł się i w głębokiej zadumie palił papierosa. Oczy jego były mroczne, czoło groźnie zmarszczone, usta zacięte.

Moc miał dziś pracy. Całe dopołudnie tłumy interesantów pokornych, zalęknionych, skamlących o łaskę dla siebie lub swoich, przewijały się przez ten pokój. Tylko ta jedna... ta jego Danka o nic nie prosiła, niczego od niego nie chciała.

Danka... jedyne jego ukochanie w życiu, jedyna słabość, jedyny cierń w sercu nieznającym litości i miłosierdzia.

Danka... wroga... obca... niechętna!

Dał jej wszystko co młoda dziewczyna zamarzyć mogła, a ona nie powiedziała nawet dziękuję. Nie za migotały radością jej cudne jasnobrązowe oczy, nie przesunął się nawet cień uśmiechu po ślicznie wykrojonych, różowych wargach. Dwa lata prawie była już u niego. I zawsze ta sama: zimna, obojętna, pogardliwa... Przeklęta duma szlachecka! Gdyby jej tak nie kochał, zobaczyłaby! Zadusiłby, nim zdobyłaby się na krzyk i rzucił psom na pożarcie, co głodne, zdziczałe włóczyły się po ulicach. Ale kochał ją obłędną, chorobliwą miłością, każdym fibrem swych nerwów, całą siłą swej męskiej namiętności. Trzymał ją w więzi, bo bał się, że mu ucieknie.

Zacisnął pięści z urazy i bezsilnej złości — Danko, dlaczego mnie nie kochasz? Gołąbko ty moja... roztkliwiał się nad samym sobą.

Odezwał się telefon. Ujął słuchawkę i podniósł ją do ucha —

...przywieźli partię białogwardzistów...

...Do lochów na przesłuchanie, a o świcie pod ściankę!... Raport ich zeznań przedłożyć mi wieczorem, a jutro z egzekucją czekać na mnie.

A... są i kobiety?! Tym lepiej, prędzej wyśpiewają „tajemnice stanu". Jeżeli młode pohulać z nimi trochę a jutro rano niech kopią groby. — Rozstrzelać ostatnie, na samym końcu, by patrzyły na śmierć współtowarzyszy. — Tylko nie cackać się. Jeżeli Gregorjew nie zmusi ich do mówienia, pójdzie pod sąd. My „nianiek" nie potrzebujemy, białorączek, słodkogłosych, miękkoserców...

Zamknął telefon, wstał i zadzwonił.

Portier podał mu pokornie czapkę i palto.

U podjazdu czekał na niego samochód marki Forda. Wykrzywił się, siadając. — Aż wstyd jeździć takim klekotem! —

Przed dwoma tygodniami szofer, jadąc po niego na kolei, zderzył się z samochodem ciężarowym. Skutki były fatalne. Szofer został zabity, a wóz doszczętnie zniszczony.

Zażądał z Moskwy nowego samochodu i szofera.

Odtelefonowano, że wysyłają, a tymczasem upłynął już tydzień, a o szoferze i samochodzie ani słychu. Denerwowało go to. Nie lubił jeździć z obcym szoferem i cudzym samochodem. Bał się zasadzki, zdrady, zamachu na swoje cenne życie.

W willi Dankę zastał w jadalni. Układała kwiaty w wazonie.

Na wchodzącego nie podniosła wzroku, nie zaprzestała swej pracy. Podszedł do niej, znienacka objął w pół i pocałował w szyję.

Żachnęła się gniewnie, odsunęła z odrazą.

Podrażniło go to, wyrwał jej kwiaty z ręki, rzucił na ziemię, stratował nogami. Chwyciwszy ją w stalowy uścisk ramion, przegiął w tył i zasypał całą twarz gwałtownymi pocałunkami.

Odpychała go, odwracała głowę, ale na nic się to zdało; trzymał ją mocno i całował bez pamięci.

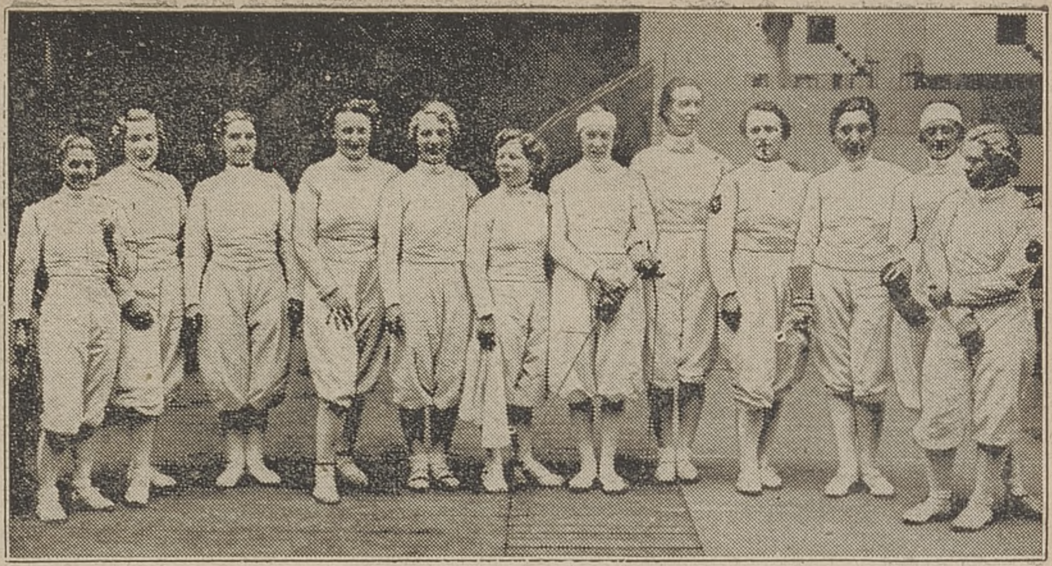
Dopiero ostrzegawcze chrząknięcie przerwało te pieszczoty.

Puścił Dankę i krzyknął gniewnie — czego?! — do stojącego we drzwiach mężczyzny w skórzanej kurtce.

— Szoferem jestem... przywiozłem maszynę! — Może towarzysz komisarz zechce obejrzeć?

— Nareszcie! ucieszył się. Idziemy.

Maszyna była śliczna i foremna jak cacko, lśniła świeżością lakieru i czystością utrzymania.



W Paryżu odbyły się niedawno kobiece zawody szermiercze. Na zdjęciu przedstawicielki Niemiec i Anglii.

Aż cmokał z uznania. Ten eks-pisarz gminny miał pańskie gusta, maniery i znał się na samochodach.

— Wasze papiery, towarzyszu — zapytał, gdy skończyli oględziny maszyny.

Szofer wyciągnął skórzany zniszczony, wytarty portfel i podał swe dokumenty.

Długo przeglądał je komisarz, starannie badał podpisy i pieczęcie. Wszystkie były autentyczne i opiewały na towarzysza-szofera Stefana Terentjewicza Sumakowa, urodzonego we wsi Kołki pod Twerem, wypróbowanego w gorliwej służbie idei bolszewickiej.

— Dobrze — mruknął chowając papiery.

— Zajedziecie za godzinę pod dom, pojedziemy z towarzyszką Danką wypróbować samochód.

Szofer wyprostował się podniósł rękę do daszka: tak jest —

Komisarz był tak podniecony i ucieszony samochodem, że zapomniał o swych czułościach i oporze Danki.

— Obiad! — krzyknął, wchodząc do domu.

Jedli we wspaniałej, wykładanej do połowy dębem sali, o mozaikowej posadzce dębowej, meblach krytych ciemno-bordo skórą, kredensach, zda się, uginających się od srebr i kryształów. Gdy upatrzył sobie tę willę na mieszkanie i wydał nakaz aresztowania kupca i jego żony, nakaz zdradziecki, niespodziewany, zaczynający cały łańcuch terroru i gwałtów, rozkazał pilnować, by nic nie ruszono, niczego nie wyniesiono z ich mieszkania, bo kochał się w zbytku, wygodach, przepychu! Sam własnoręcznie zdzierał z szyj klejnoty i perły — niby na rzecz skarbu, ale najdroższe i najpiękniejsze szły do jego szkatuły, bo kochał się w klejnotach, srebrze, kryształach.

* * *

Siedzieli oboje przy stole nakrytym cienkim obrusem i jedli w milczeniu srebrnymi sztućcami na najcieńszej porcelanie francuskiej.

Komisarz raził na tle tego wykwintu nie tylko swoją ociężałą nierasową sylwetką, ale i sposobem je-



Fragmenty pogrzebu wielkiego uczonego włoskiego i wynalazcy Wilhelma Marconiego. Trumna ze zwłokami Marconiego została przewieziona z Rzymu do jego miasta rodzinnego Bolonii.

dzenia. Rozparty siorbał głośno, mlaskał, kładł nóż do ust, oblizywał go, rozgmerywał jedzenie po całym talerzu. Natomiast towarzyszka jego zdawała się być kasztelanką, dla której ten pałac wybudowano, dostosowywując go do jej rasowej postaci i urody.

A jednak, jako że Rosja jest krajem skrajnych kontrastów, pałac ten — przepych urządzenia dyskretny w każdej drobnostce, dostosowany w stylu, gatunku i kolorze, budowany był dla kupca korzennego, dobrodusznego, nieokrzesanego prostaka i jego żony Praskowji, typowej mieszczki z głębokiej prowincji, która skończyła pensję i pełna sztucznej dystynkcji chorowała na tak modne w Rosji „wiecznoje błużdatielstwo“ (ustawiczne dociekania i rozważania duchowe, pozowanie na wzniosłość i uduchowienie), co nie przeszkadzało jej w ustawicznych flirtach, zabawach, nie odbierało apetytu, nie powstrzymywało od łakomstwa, od kłócenia się ze służbą, obmawianie przyjaciółek

— Mam nowego szofera, przysłali samochód, więc pojedziemy na spacer — oświadczył, obcierając dłonią zatłuszczone usta i brodę.

Zapalił cygaro, nalał sobie herbaty na spodeczek i włożywszy kawałek cukru do ust, pił herbatę, jednocześnie między jednym łykiem a drugim paląc wonne cygaro.

— Oj, Danka — powiedział — żebym ja ciebie mniej pożądał, dawnoby ty wychodki w czerezwyczajce czyściła.

Pobladła i zacięła usta. Wolałaby tamto, niż jego ustawiczne dowody miłości, niż te ciągłe gwałty dokonywane na niej, niż tę złotą klatkę niewoli.

Czyszcząc komórki spełniałaby tylko fizyczną poniżającą pracę, a dusza jej byłaby wolna, byłaby jej własna. A tu — nie miała prawa do swego czasu, do swego ciała, do swej myśli.

Czuła się na każdym kroku śledzona, podpatrywana; mogła być przez niego każdej chwili obnażona, a gdyby protestowała, zostałaby obita, skopana, posiniaczona, obezwładniona.

Był jej wstrętny, nienawidziła go. A jego właśnie podniecała i pociągała ta nienawiść, ten jej chłód, obojętność, i ustawiczny, bierny opór.

Ciągle jej pożądał, nie miał nigdy dosyć jej widoku i obecności. Nawet w nocy przez sen dotykał jej, by się upewnić, czy leży tuż obok.

Gdy się opierała, broniąc swego ustawicznie poniżanego człowieczeństwa, szeptał ochryple: — nie drap, nie gryź, nie rzucaj się, a to zaduszę jak tę inną tam... wtedy... Ileż razy marzyła o tym, by ją zadusił. Prosiła go o to. Wtedy mijał mu gniew i śmiał się tylko szatańsko. — Jak mi się oprzykrzysz i nacieszę się tobą, to wtedy będę już wiedział, jak się ciebie pozbyć. Sprawię ci wtenczas diabelskie wesele! — dodawał z dziką pogróżką.

* * *

Wyciągnął ramię i niespodziewanie schwycił ją zą rękę i przyciągnął ku sobie.

Najadł się smacznie i dosyta, popił dobrze wódką i piwem i zebrało mu się na czułości.

Opierała się, więc szarpnął nią mocno aż srebro i szkło zabrzęczało. Pociągnął ją ku sobie, posadził na kolanach i przywarł wargami do jej szyi wychylającej się z koronek kołnierza.

Zamknęła oczy i na twarzy jej odmalowała się męka.

— Samochód gotów, „towariszcz komisar“ — odezwał się głos od drzwi.

Puścił dziewczynę, zaśmiał się rubasznie i mruknąwszy porozumiewawczo do szofera powiedział: ot każda dziewka jednaka. Broni się niby, a chce!...

Danka zalała się krwawym rumieńcem upokorzenia i wstydu. Na rzęsach zaperliły się łzy i spadły srebrną rosą na jedwab stanika, a jednocześnie zbudziła się w niej gwałtowna niechęć do stojącego we drzwiach mężczyzny, że widział jej łzy, że był świadkiem jej upokorzenia i pohańbienia.

— Jedziemy! — spiesz się Danka.

Szofer odwrócił się krokiem służbisty i wyszedł, a za nim komisarz.

Otulony w ciepłą dachę, podbitą lisami, czekał na Dankę, lustrując z upodobaniem mocną, lśniącą nowym lakierem maszynę. Co chwilę rzucał oczyma na szeroko otwarte drzwi wchodowe.

Ujrzał ją schodzącą z górnego piętra w płaszczu sobolowym, podbitym gronostajami, w kołpaczku także sobolowym i takiej samej mufce.

Nosiła ten płaszcz księżna Gagarina, jadąc na bale dworskie do Carskiego Sioła.

— Och, nie krasawica? (czy nie piękność?) — zwrócił się do szofera.

Ten przemknął pobieżnie wzrokiem po wysmukłej postaci dziewczęcej, zatrzymał na sekundę spojrzenie na jej bladej, ślicznej twarzyczce i smutnych oczach. —

— Krasawica — potwierdził obojętnie, siadając na swoje miejsce.

Ruszyli z miejsca pełnym gazem. Maszyna lekko i cicho przemknęła przez miasto i skręciła na szosę. Przy samej rogatce jak spod ziemi wyrósł nagle człowiek przygarbiony, okryty łachmanami, z kosturem żebraczym w ręku. Szofer skręcił na niego samochód.

Nie zdążył odskoczyć lub krzyknąć, a już auto przeszło po nim nawet bez zbytniego wstrząsu i pomknęło jak wicher po gładkiej szosie.

Komisarz zastukał w szybę. Samochód stanął.

— Ej ty, jedź uważnie. Ludzi po drodze rozjeżdżasz — krzyknął.

Szofer błysnął białymi zębami w uśmiechu.

— Niech nie podłazi psi syn. Wyglądał na burżuja. Dużo ich w przebraniu żebraczym włóczy się po Rosji. Tchórze! pod ubogich podszywają się, byleby tylko swoją podłą skórę na grzbiecie zachować.

Danka zadrżała i otuliła się szczelniej futrem, lękiem przejęty ją słowa i uśmiech mówiącego.

Komisarz zarechotał głośnym śmiechem.

Auto ruszyło znów z wiatrem w zawody.

* * *

Upodobał sobie nowego szofera komisarz Petrow. Takiego jeszcze nie miał. Odgadywał nie tylko jego życzenia, ale i myśli. Ponadto był punktualny, gorliwy, małomówny, niewścibski i pracowity.

Samochód lśnił jak samowar, gdy rano o siódmej zajeżdżał pod willę, a mknął przez miasto jak duch, wzbudzając grozę w jednych, podziw w drugich. A jaki zaciekły był z niego bolszewik!

Ciąg dalszy w następnym numerze.

WOJCIECH HOLM

43)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Nie mogę mamie jeszcze tego powiedzieć — mruknął. — Będziemy szukać Idy. Markiz zrobił testament na korzyść Idy.

— Co za szczęśliwa istota z tej Idy! — piszczała. — Czy mnie kto kiedy co zapisał? A przecież wiodę tak bogobojny żywot!

— No, nie bardzo — stwierdził synalek ponuro. — Zresztą niech mama nie złorzeczy szczęściu Idy, bo ono raczej mnie zejdzie na korzyść.

— Jeżeli ci się uda z nią ożenić! — odparła pani Hai. — Skąd jednak wiesz, że markiz naprawdę wszystko jej zapisał?

— Bo byliśmy razem u notariusza. Najpierw ja uczyniłem Idę moją uniwersalną spadkobierczynią.

— Czyś oszalał? — przerwała mu aptekarzowa, pieniąc się ze złości.

— Wcale nie! — odpowiedział Teobald chłodno — jestem przy zupełnie zdrowych zmysłach!

— Jak ty śmiesz zapisywać jej swój majątek? — wrzeszczała pani Hai.

— Mój majątek? — zaśmiał się Teobald — ależ to wyborne! To było przecież tylko szopką, aby nakłonić markiza do zrobienia Idy swą spadkobierczynią! Nie będzie to z moją szkodą, niech się mama o to nie boi! A teraz proszę mi pakować rzeczy. Czy ojciec w domu?

— Nie — odpowiedziała pani Hai.

— Fatalnie się składa! — mruknął Teobald. — tak mi ojca potrzeba!

— Trzeba ci pieniędzy? — zapytała matka — trochę mogłabym ci dać, ale nie wiele.

— Proszę w każdym razie mi dać ile mama ma. Czy Bernard jest w laboratorium? — zapytał.

— Ten osioł Bernard, od czasu jak Ida znikła chodzi jak struty — opowiadała mu pani Hai. — Przez cały dzień ani kęsa do ust nie wziął i lata jak pudel, który zgubił swego pana.

— Dobrze — rzekł na to młody Hai — mam jeszcze coś w laboratorium załatwić. Niech mama uważa, aby mi w tym nikt nie przeszkodził.

— Teobaldzie! — zaniepokoiła się Hajowa — po co tam idziesz? Czy chcesz otruć markiza? Bój się Boga, nie czyń tego! Każda zbrodnia wychodzi na jaw!

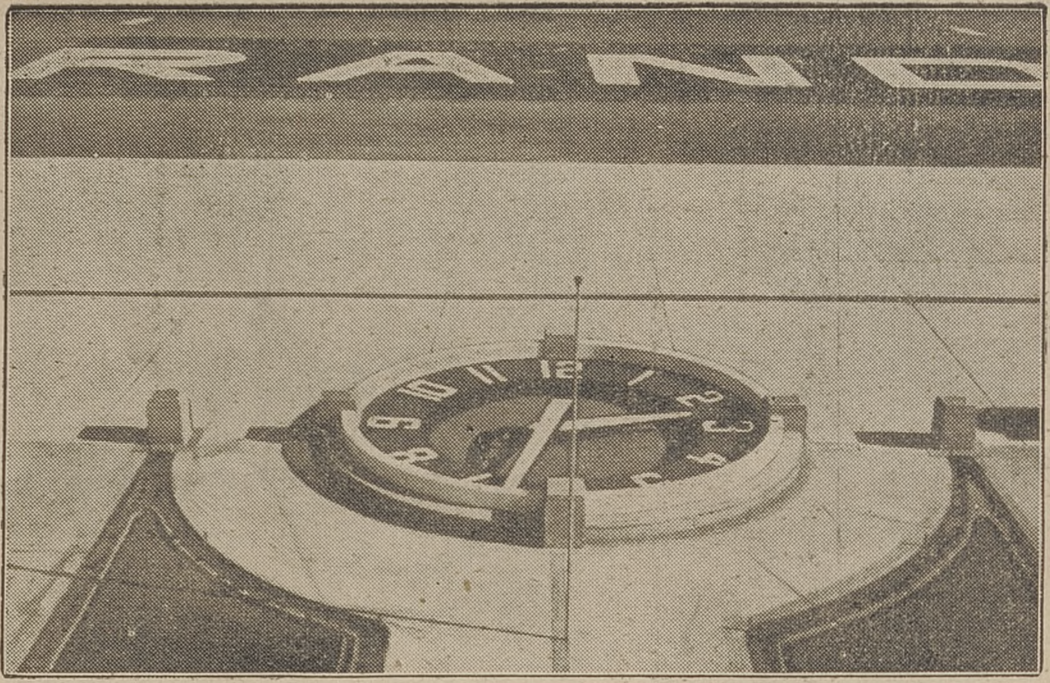
Ostrzegała wiąc syna nie ze wstrętu przed zbrodnią, ale z bojaźni przed wykryciem tejże. Nie chodziło jej o sumienie własnego dziecka, lecz tylko o jego bezpieczeństwo!

On zaś odrzucił szorstko rękę, którą mu matka położyła na ramię, jak gdyby go od zamiaru jego tym ruchem wstrzymać chciała i, wszedłszy do laboratorium, drzwi za sobą zamknął.

Zdjął z pułek kilka słoiczków, powąchał każdy z osobna i niezadowolony postawił je spowrotem.

Wreszcie otworzył małą szafkę i wyjął z niej flaszkę z przeźroczystym, niebieskawym płynem. Z tego płynu zlał trochę do małego flakonika, który schował starannie do górnej kieszeni surduta, następnie schował flaszkę napowrót do szafeczki i wrócił do matki z najobojętniejszą w świecie miną.

— Czy pakunek już gotów? — zapytał wesoło.



Największym zegarem na świecie jest świeżo zainstalowany zegar na lotnisku południowo-afrykańskim w mieście Durban. Tarcza zegara o średnicy 70 m jest widoczna z samolotów, znajdujących się w znacznej odległości od lotniska.

— Tak — odpowiedziała aptekarzowa blada i trzęsąca się ze zdenerwowania.

— Czas już wyruszyć mi w drogę — rzekł Teobald swobodnie.

— Zważ pierwej co robisz Teobaldzie! — perswadowała mu znów matka. — Przypuśćmy nawet, że uda ci się zgładzić markiza. Cóż jednak zrobisz, jeśli Ida z majątkiem, który jej przygotujesz da ci kosza i wyjdzie za kogo innego?

Miała już konkurentów, gdy była jeszcze biedna jak mysz kościelna, a teraz, gdy się dowiedzą, że jest bogatą dziedziczką, będą jej tuzinami u nóg leżeć. Mężczyźni są bowiem nieobliczalni w swoich gustach a zachwycają się najgłupszymi stworzeniami.

Pomyśl też o tym, że ona opierała się twoim staraniom o jej rękę już wtedy, gdy była jeszcze na łasce naszej — a cóż dopiero będzie jeśli się dowie, że akcje jej tak poszły w górę? Sądzę, że widoki twoje wtedy jeszcze bardziej się zmniejszą!

— Przysięgam mamie, że potrafię sobie z Idą dać radę i pozyskać ją dla siebie jakimkolwiek bądź środkiem! — zapewniał ją Teobald z brzydkim błyskiem w oczach.

— Boże święty! — zawodziła pani aptekarzowa, załamując ręce — czego się tak trzymasz tej bladej, anemicznej dziewczyny. Są przecież także świeże, zdrowe i powabne dziewuchy na świecie, z którymi się Ida porównać nie może i jeszcze do tego majętne. A co najważniejsze, że każda z nich byłaby szczęśliwą, gdyby ciebie mogła dostać za męża.

— Nie! — odrzekł Teobald ochrypłym głosem. — Jeszcze dzieckiem będąc, nie znałem większej przyjemności, jak łamanie oporu jakiegobądź stworzenia.

Gdyby się Ida we mnie kochała, opuściłbym ją natychmiast, a że mnie jednak nienawidzi i wstręt do mnie czuje to będzie dla mnie rozkoszą ożenić się z nią i wymuszać na niej czułości!

Chcę chodzić za nią jak cień: ani na jedną chwilę nie chcę jej opuścić! Chcę ją tak zająć, aby nie miała nawet czasu myśleć o swoim ideale.

— Jeśli ci się to tylko uda! — mruknęła pani Hai trwożliwie.

— Jeśli mi się uda? — powtórzył Teobald gniewnie — po co te mamine wieczne wątpliwości? Musi mi się udać, powiadam mamie! Stawiam wszystko na jedną kartę, ale te karty tak dobrze zmieszałem, że muszę wygrać! A teraz muszę już iść, nie mogę pozostawić markiza długo samego.

Krótkim dowidzenia! rozstał się Teobald ze swoją matką, schwycił mały pakuneczek, który dla niego sporządziła i podążył w stronę najbliższej stacji dorożek.

Pani Hai padła z jękiem na fotel.

— Moje dziecko! moje jedyne dziecko! — lamentowała — wiem, że idzie na swoją zgubę, a nie mam tyle mocy nad nim, aby go od tego lekkomyślnego kroku wstrzymać.

Pani Selma Hai odpokutowała w tej ciężkiej, gorzkiej godzinie za wszystkie grzechy niepoczciwego swego żywota!

Widziała syna swego w myśli już na szubienicy i z rozpaczą zakryła twarz swą obiema rękoma, podczas gdy duże, gorące łzy spływały po jej policzkach.

Pani Selmo, jest na niebie Bóg, co wszystko widzi i sądzi!

Każdy człowiek zbiera to, co posieje.

Pani posiałaś grzech, a więc zbierzesz zniszczenie!

ROZDZIAŁ CLXVI.

Na torze

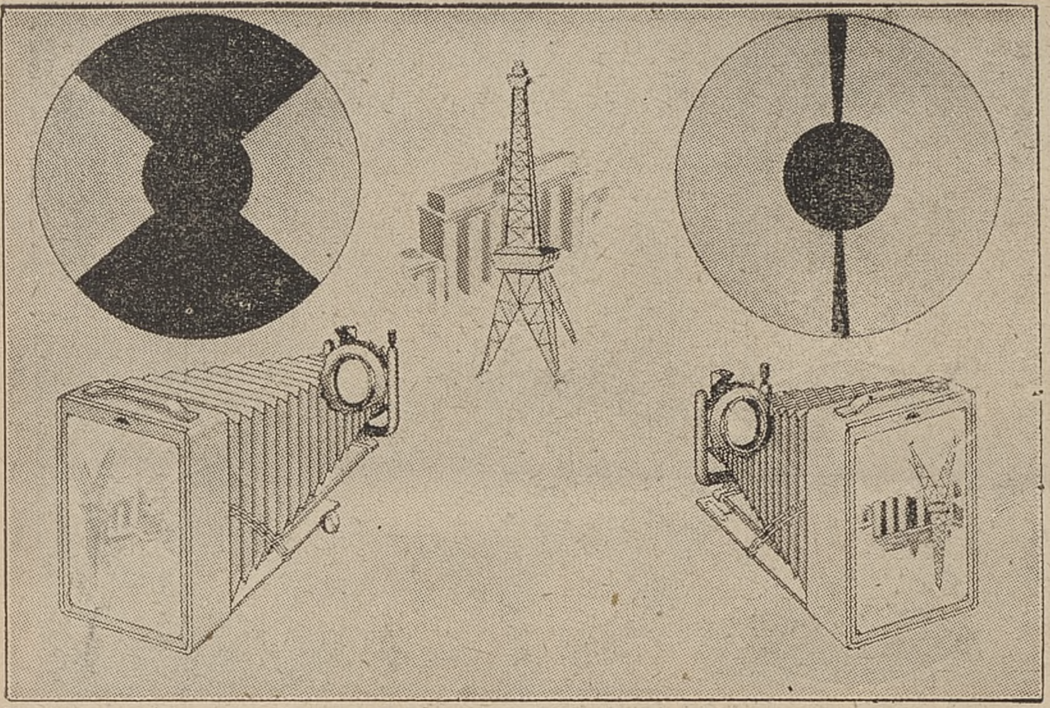
Podczas jazdy miała Rachela okropne przykrości z biednym szaleńcem.

Ignacy wyprawiał tak, że Rachela groziła mu, że go zwiąże i zaknebluje mu usta. Łajała go bez ustanku, a nieszczęśliwy obłąkaniec słuchał besztaniny jej ze związaną głową i zmrużonymi oczyma.

Wreszcie Ignacy zasnął, a także i Racheli zapadły oczy do głębokiego snu. Była ona zupełnie wyczerpaną. Wypiła tylko odrobinę anyżówki, zaprawianej sokiem makowym, ale i ta odrobina wystarczyła, aby ją uśpić. Zaczęła po chwili głośno chrapać, a chrapanie to zbudziło Ignacego, który miał bardzo lekki sen.

Wagon oświecony był lampą zwieszającą z sufitu.

Ignacy patrzył z pod oka na Rachelę. Gdy zobaczył, że śpi mocno, pogroził jej silnie zaciśniętą pięścią i mruknął.



Na wystawie radio - i fotograficznej w Berlinie można zobaczyć szereg udoskonaleń technicznych. Między innymi zademonstrowano t. zw. „oko magiczne" wmontowane do aparatu fotograficznego. „Oko", to przy odpowiednim ustawieniu aparatu zwęża się automatycznie (zdjęcie z prawej), dając na matówce aparatu ostre odbicie zdejmowanego przedmiotu.

— Żeby ci język przyrósł do podniebienia, żeby cię piorun spalił, ty stara jędzo! Groziłaś mi związaniem i zakneblowaniem ust! Czegoż nie mam mówić, kiedy i ona bez ustanku gada! Uciekłbym od niej, gdyby nie obawa, że umrę z głodu!

To mówiąc, spojrzał na worek z żywnością, który leżał obok Racheli.

Otworzył i skontrolował co zawiera w swoim wnętrzu. Gdy zobaczył, że jest w nim sporo zapasu, rozpogodził swą zasępioną twarz i mruknął, zacierając ręce z radości:

— Jak wiele tu jest do jedzenia! Gdy Ignacy sobie to zabierze, nie będzie cierpiał głodu ,a głód męczy!

Potem zawiązał wór na powrót i spróbował otworzyć drzwiczki wagonu, co mu się też udało.

Mimo szału, miał jednak jeszcze tyle rozumu, aby nie wyskakiwać podczas jazdy. Siedząc na podłodze wagonu, przytrzymywał drzwiczki ,aby zimne powietrze z dworu nie obudziło śpiącej jego opiekunki.

Wreszcie pociąg stanął i Ignacy wyskoczył czymprędzej na szyny, z workiem żywności na plecach. Zatrzasnąwszy drzwiczki wagonu, pobiegł wielkimi susami w pole.

Zaś Rachela chrapała spokojnie dalej i obudziła się dopiero nad ranem.

Wtedy zaspanymi oczyma powiodła dokoła.

— Gdzie mi się podział chłopak? — szepnęła zaniepokojona, gdy zobaczyła, że Ignacego nie ma. — Musi być przy Benarym i Wolfie — dodała sama siebie uspakajając.

Zapukawszy do sąsiedniego wagonu, zawołała przez ścianę:

— Benari, czy Ignacy jest przy tobie?

Ale nie otrzymała odpowiedzi, bo Cygan spał jeszcze w najlepsze na skutek tej wódki przyprawionej narkotykiem.

Nagle spostrzegła stara Cyganka, że nie ma worka z żywnością i w tej chwili zrozumiała wszystko.

Łajała, wrzeszczała i przeklinała, ale przekleństwa i wymysłania jej nie sprowadziły na powrót zbiega.

Gdy pociąg stanął, wybiegła ze swego wagonu do przedziału, w którym byli jej towarzysze i zbudziwszy Wolfa z głębokiego snu zawołała:

— Gdzie jest Ignacy?

Wolf zerwał się na równe nogi i patrząc na wzburzoną staruchę szklanymi, zaspanymi oczyma, wybełkotał:

— Nie wiem!

— A gdzież jest Ilona? — pytała Rachela dalej, pieniąc się ze złości.

— Ilona? — powtórzył Cygan ochrypłym głosem — niech mnie Bóg skarze, jeśli wiem, gdzie się ona podziała.

— Gdzie jest jej zawiniątko? — wrzeszczała Rachela, szukając w całym wagonie za jej pakuneczkiem. W wagonie prócz Cyganów nikogo więcej nie było, gdyż pasażerowie jedni za drugim już powysiadali.

Wolf, ocuciwszy się trochę, zaczął Cygance pomagać w szukaniu.

— Jak Boga kocham, że pakuneczka nie ma! — mruknął.

Widząc to, wyskoczyła Rachela z wagonu, pobiegła do poczekalni i pytała tam każdego z osobna, czy nie widzieli Ilonę; czyniła to jednak w tak dziki i krzykliwy sposób, że wszyscy mieli ją za szaloną i każdy odpowiadał przecząco.

— Ach, Wisznu i Schiwa radźcie co począć, bo nie wiem! — lamentowała stara

Wtem usłyszała sygnał do odjazdu, a nie chcąc zostać na stacji, pobiegła przez szyny do swego wagonu, nie spostrzegając, że z drugiej strony nadjeżdża pociąg pośpieszny.

Tuż przed sobą usłyszała świst lokomotywy i padła z przestrachu na ziemię. Chciała się podnieść, ale nie miała siły; chciała wołać o pomoc, ale nie mogła wydobyć głosu.

Tymczasem sapiący potwór zbliżał się i czerwone latarnie lokomotywy zajrzały Racheli w oczy.

Pociąg przejechał dymiąc i sycząc po ciele nieszczęśliwej kobiety.

— Dziesięć minut spóźnienia, panie konduktorze — zawołał naczelnik stacji na przywitanie. — Chciał mu właśnie palnąć porządną burę, gdy oczy jego padły na leżącego na szynach trupa.

Słowa zamarły mu na ustach.

Tuż obok siebie zobaczył nieforemną, krwawą masę, to jest zmiażdżony tułów kobiecy, a o kilka kroków dalej głowę z rozwianymi, czarnymi włosami, z których zsunęła się chustka.

Wreszcie przyszedł o tyle do siebie, że był w stanie zwrócić uwagę swego otoczenia na zmiażdżone ciało, leżące tuż na szynach.

— To jest winą spóźnienia — dodał po chwili. — Nie chcę nikomu robić wyrzutów. Dochodzenie sądowe wykaże resztę. Na razie sprzątnijcie szybko trupa z szyn.

Pozbierano pojedyńcze członki trupa na nosze i zaniesiono do wnętrza budynku.

Podczas tej procedury pociąg, w którym był Wolf i Bekari, pośpieszał w przeciwną stronę. Obaj Cyganie nie mieli pojęcia, że towarzyszka ich znalazła tak okropną śmierć i że już stała przed sądem Wiekuistego.

ROZDZIAŁ CLXVII.

Hortensja przebyła swą drogę z Wiednia do Tryestu w gorączce oczekiwania i na przemian miotana: to bezgraniczną rozpaczą, to przeczuciem największego szczęścia. Obawa i nadzieja następowały tuż po sobie, lecz ta ostatnia przecież brała górę!

Bóg zlituje się nade mną — myślała młoda kobieta w dziecinnej swej wierze — i uwieńczy usiłowania może pomyślnym skutkiem!

Pozwoli mi On, że znajdę Leona i że odzyskam miłość mego ukochanego!

Opanowała ją cudowna nadzieja, zwątpienie znikło, a zjawiła się jakaś moralna odwaga i siła fizyczna wcale niespodziewana u tego delikatnego stworzenia.

Nad ranem przybyli do Tryestu, gdzie Luigi umieścił ją w pierwszorzędnym hotelu i zmusił do spożycia śniadania.

Potem poszła na policję.

Elegancka toaleta żałobna i lokaj w liberii zdobyły dla niej od razu szacunek urzędnika, który na zapytanie, czy jej krewny Leon Waldau znajduje się w Tryeście, przejrzał akta i stwierdził, że nie jest meldowany.

Wtedy Hortensja z pewnym zakłopotaniem wyłuszczyła komisarzowi, że jej krewny był w przykrych stosunkach finansowych i być może, że przebywa tu pod obcym nazwiskiem. Dodała, że nie żałowałaby kosztów za odszukanie miejsca jego obecnego pobytu.

Wtedy jeden z urzędników policyjnych zaofiarował jej swoje usługi.

Określiła mu dokładnie jak Leon wyglądał, on zaś zanotował to sobie i przyrzekł, że wieczorem przyjdzie z odpowiedzią.

Hortensja taka była niespokojna, że nie mogła usiedzieć w domu i razem z Luigim przez cały dzień obchodziła po ulicach Tryestu w nadziei, że może przypadkowo spotka Leona.

Nie wiedziała o tym, że jego już w Tryeście nie ma, a już wcale nie przeczuwała, w jak strasznym był położeniu.

Około wieczora wróciła do domu.

Niebawem zjawił się urzędnik policyjny.

— Żałuję mocno — rzekł na samym wstępie, że wieści, które przynoszę, nie będą pożądane. Jedyny człowiek, z którym zgadza się opis pani, był tu klownem w cyrku Ferier.

— Czy jest jeszcze tutaj? — zapytała prędko Hortensja, której ani przez głowę nie przeszła myśl o fałszywym wstydzie z powodu zajęcia Leona.

— Nie, proszę pani — odpowiedział urzędnik. — Nie odważam się zresztą nawet twierdzić, że ten człowiek jest identycznym z poszukiwanym przez panią, panem Leonem Waldau.

Było to tylko moje przypuszczenie. Bliższych wyjaśnień mógłby zresztą udzielić dżokiej z cyrku, pan Oliwier, zamieszkały w hotelu „pod Czarnym rumakiem". Z nim bowiem najczęściej widywano tego pana. Musieli być w przyjaźni.

Hortensja słuchała rozczarowana.

Z ciężkim sercem zapisała sobie rezultat poszukiwań, który wydawał jej się równy zeru.

Podziękowała jednak agentowi policyjnemu kilku słowami i banknotami i pożegnała go.

Było za późno na pójście do owego hotelu i musiała wstrzymać się z tym do dnia następnego.

Nazajutrz w hotelu „pod Czarnym rumakiem" zdziwiono się ogromnie, że taka elegancka dama pytała się tak niewinnie o Oliwiera.

Wskazano natychmiast jego mieszkanie.

Ona wysłała do niego swego służącego, żeby ją zameldował i za chwilę, gdy ten wrócił oznajmiając, że Oliwier prosi, weszła z bijącem sercem.

Oliwier właśnie namawiał małą Ninon bezskutecznie, żeby wyszła z pokoju.

Dziewczynka zobaczywszy wchodzącą Hortensję prosiła czule:

— Co, taka ładna pani przychodzi do ciebie, a ja mam iść do Barbary? Pani przecież pozwoli, że ją tu zostanę? — rzekła, zwracając się do Hortensji i biorąc ją za rękę.

Hortensji tak się podobało to dziecko, że podniosła je do góry i ucałowała.

— Leon tak samo zawsze robił! — cieszyła się dziewczynka.

Hortensję tknęło przeczucie, że to mowa o jej mężu. Ucałowała raz jeszcze usteczka, które całował Leon i gładziła ruchem pieszczotliwym jej włosy.

Oliwier, ujęty bardzo widokiem tej sceny, czekał z respektem, aż nieznajoma pierwsza przemówi i wyjaśni przyczynę swego przybycia.

Po chwili Hortensja zwróciła się do niego, mówiąc:

— Przyszłam, żeby prosić pana o informacje, tyczące pana Leona, który podobno przyjaźnił się z panem.

— Jak to? — przerwał jej Ninon. — Nas się pytasz o Leona? My właśnie sami nie wiemy, gdzie on się podział! Ty może jesteś jego żoną? Widziałam go raz, jak całował obrączkę złotą, zapytałam go, od kogo ją dostał; odpowiedział, że od żony. Pewnie musisz być jego żoną.

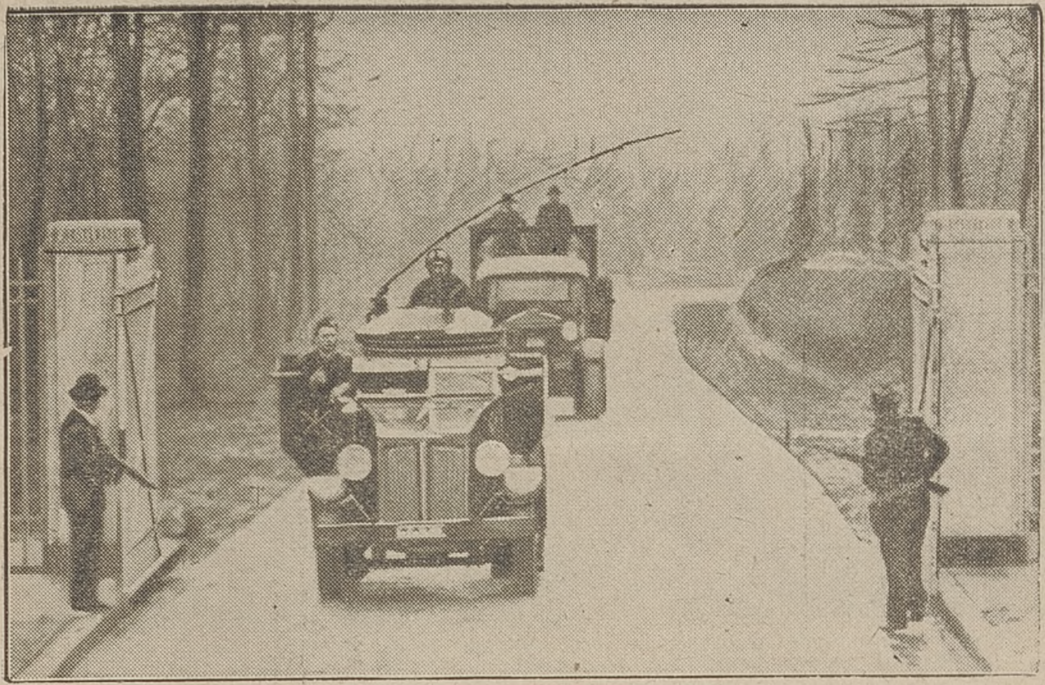
— To dziecko odgadło, rzekła do Oliwiera Hortensja i zarumieniła się. Rzeczywiście szukam męża! Nie wiem jednak o tym, czy znajomy pański, pan Leon, jest ten sam, którego szukam. Byłabym panu bardzo wdzięczną, gdyby mnie pan zechciał bliżej poinformować, co do niego.

— Bardzo chętnie! — odpowiedział Oliwier — proszę niech pani będzie łaskawa usiąść i pozwoli wyprowadzić mi maleńką, bo się naprzykrza.

Chciał Ninon wyprowadzić z pokoju, ale ona znowu tak grzecznie prosiła, żeby ją zostawić, że Hortensja nie mogła się oprzeć, wzięła ją na kolana, a ojciec musiał pozwolić córeczce zostać, ale zakazał jej się wtrącać do rozmowy.

Ninon siedziała cicho na kolanach Hortensji i wpatrywała się w nią, jak w święty obrazek.

— Opowiem pani — mówił Oliwier — jak się zapoznałem z Leonem. Ninon mi uciekła i on mi ją przyprowadził. Poznać było po nim, że był w złych stosunkach, ale dumnie odrzucił wynagrodzenie, które mu się należało i prosił mnie, abym wystarał mu się o zarobek. Nie było żadnej innej posady, prócz zajęcia gimnastyka w cyrku, które rej on, ku memu zdziwieniu, nie odrzucił. Miał pewne zdolności akrobatyczne, znał niektóre sztuczki, które mu umożliwiły zarabianie w cyrku.



Jak wiadomo, skarbiec państwowy Stanów Zjednoczonych znajduje się w specjalnie zbudowanym z betonu i stali forcie Knox, gdzie obecnie przechowuje się pieniądze w złocie wartości około 30 miliardów złotych polskich. Na zdjęciu samochody pancerne z nowym transportem pieniędzy wjeżdżają na dziedziniec fortu.

Przez trzy tygodnie był moim towarzyszem bardzo kochanym i serdecznym, lecz niemniej smutnym. Poszedł z cyrku jedynie dla swej skrupulatnej sumienności. Niech mi pani nie weźmie za złe, gdy powiem, zupełnie otwarcie, że głównie przyczyniło się do tego jego uporczywe chłodne zachowanie się wobec dwu dam cyrkowych, które mu się narzucały.

On nie mógł się dostosować do tej sfery. Był stanowczo zanadto dystyngowany, wykształcony i delikatny na arenę cyrkową. Daj mu Boże, żeby znalazł stanowisko godne siebie. Znikł od nas nagle Lecz wpierw sumiennie zapłacił rachunek w hotelu i zwrócił mi dług.

Aha, właśnie przypominam sobie, że na pożegnanie zostawił mi list, który schowałem, jako jedyną pamiątkę po nim. Zaraz go dla pani poszukam.

Podczas gdy to opowiadał, Hortensji grube łzy spływały po policzkach. Nie miała już najmniejszej wątpliwości, że był to Leon, jej mąż i ogromne współczucie ściskało jej serce.

Ale w opowiadaniu Oliwiera było przecież bardzo wiele rzeczy, które ją mogły cieszyć!

Całe zachowanie się Leona tak jak je przedstawiał Oliwier, było bardzo honorowe, męskie i pełne charakteru — więc serce jej napełniło się dumą.

Wiadomość, że bezustannie był smutny, że całował pierścień ślubny; fakt wreszcie, że mimo całej nędzy pierścienia tego nie zastawił — dowodziły, że serce jego znowu niepodzielnie należy do niej.

Płakała więc cicho z bólu i szczęścia, a Ninon pocieszała ją z dziecinną czułością.

— Nie płacz! — szeptała — znajdziesz jeszcze Leona i wszystko będzie dobrze. Ale wtedy musicie wrócić razem do nas. Leon nie skończył mi jeszcze opowiadać tej bajki o zaczarowanej królewnie. Wiesz, mnie się zdaje, że ta królewna musiała tak wyglądać jak ty, bo Leon zawsze mi ją tak opisywał. Takie włosy i oczy, taki nos, taka twarz. Wszystko całkiem tak samo.

Błogie uczucie owładnęło sercem Hortensji na to szczebiotanie dziecka.

A więc to prawda! Więc on w istocie myślał o niej i wspominał ją z miłością!

Słuchała uważnie szczebiotu dziecka i w tym dziecinnym, naiwnym opowiadaniu dopatrywała się tysiąca szczegółów, które jej dawały pewność, że to on. Pewność, która się niebawem miała potwierdzić.

Gdy Oliwier przyniósł list od Leona, poznała od razu jego pismo.

— Ostatnia wątpliwość usunięta! — rzekła — to jest pismo mego męża. Dziękuję panu serdecznie za to dobrodziejstwo. Niech panu Pan Bóg wynagrodzi za to! Jeszcze tylko jedną prośbę mam do pana. Nie wie pan, w którym kierunku wyjechał on z Tryestu?

— Niestety, proszę pani. Sam za nim szukałem, ale bezskutecznie. Naturalnie, że nie mogłem szukać energicznie, gdyż jestem związany. Mogę pani tylko opisać, jak był ubrany.

Opisał jej dokładnie garderobę Leona, co dla niej było cenną wskazówką w dalszych poszukiwaniach.

Gdy się żegnała, Ninon uwiesiła się jej u ręki i okrywając ją pocałunkami, życzyła jej, aby jak najprędzej znalazła Leona i prosiła, żeby z nim później wróciła do nich, co jej Hortensja uroczyście przyrzekła.

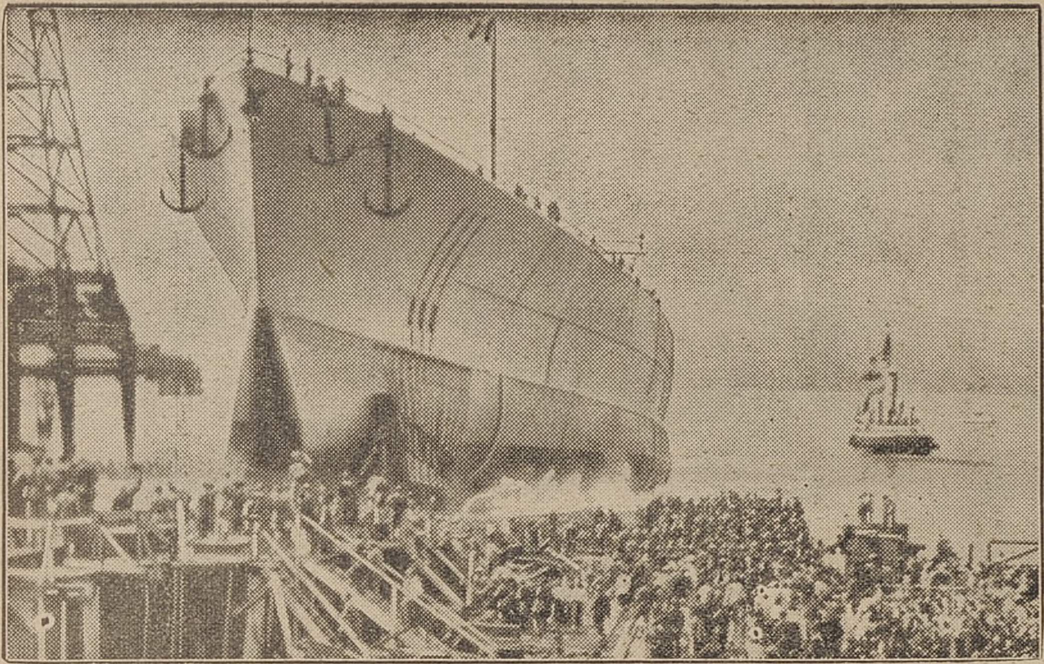
Oliwier nie mógł sobie wytłumaczyć, co oddzieliło Leona od Hortensji. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że smutek Leona pochodził z miłości i tęsknoty, gdy z drugiej strony nic innego tylko miłość kazała Hortensji szukać męża z taką trwogą i rozpaczą.

Dlaczego nie byli razem? Dlaczego ona w takim dostatku, a on w nędzy?

Im dłużej o tym myślał, tym mniej rozumiał. Nareszcie przestał gubić się w domysłach, życząc sobie tylko w duchu, żeby się jak najprędzej znaleźli.

Tymczasem Hortensja naradzała się z Luigim, co począć.

Nazajutrz ukazało się we wszystkich dziennikach całej prowincji następujące ogłoszenie:



Na zdjęciu uroczysta chwila spuszczenia na wodę włoskiego okrętu liniowego „Vitorio Veneto” w obecności rodziny królewskiej, przedstawicieli rządu i olbrzymich tłumów publiczności.

Sto złotych otrzyma ten człowiek, który po 15-tym grudnia widział osobę poniżej opisaną i potrafi dać wyjaśnienia co do miejsca jej pobytu. Jest to mężczyzna 25-letni, sługnego wzrostu, o regularnych rysach, czarnym wąsie i czarnych oczach. Ubrany był w ciemno - brązowy żakiet w kratę i takie same spodnie. Zgłaszać się należy w Tryeście, w hotelu „Du Sute” numer 47.

Hortensja chciała wyznaczyć większą nagrodę, ale Luigi odradził jej, mówiąc, że będą się zgłaszać Bóg wie jacy oszuści.

Rzeczywiście zaraz na drugi dzień zgłosił się jakiś człowiek, który się przedstawił jako stróż podmiejskiej restauracji.

Opowiadał bardzo szeroko i powtarzał kilka razy, że 15 grudnia, a były to jego urodziny, stał na progu, i widział jak gościńcem idzie jakiś człowiek z węzełkiem. On myślał zrazu, że to jakiś rzemieślnik, ale potem widział, że się pomylił, bo to najwidoczniej był jakiś pan.

Szedł gościńcem i stanął, patrzył ku gwiazdom i mówił coś o jakiejś winie, przy czym wołał jakieś dziwne imię: „Ratensja”, czy coś podobnego. Wyglądał tak właśnie, jak ten pan opisany w gazecie.

Hortensja zapłaciła mu 100 złotych i zapytała tylko, w którym kierunku Leon poszedł.

Namyślała się właśnie, czyby się nie udać we wskazanym kierunku, gdy zjawiła się pewna dziewczyna wiejska. Przemogła ona pierwszą nieśmiałość i rozgadała się szeroko.

Musiała czekać u piekarza, bo było dużo ludzi, a tymczasem czytała gazetę, którą jej pani kazała kupić. Zobaczywszy anons pomyślała sobie, dlaczego nie ma zarobić 100 złotych, skoro widziała tego człowieka, chociaż wtedy, gdy go widziała, nie przypuszczała, że go będą szukać gazetami. Poprosiła zaraz swoją panią o godzinę wolnego i przyszła powiedzieć:

Było to 8 dni przed Bożem Narodzeniem, ona służyła jeszcze wtedy u Steinhuberów, bo dopiero 2-go stycznia dostała się do miasta. Do dworku ich przyszedł jakiś człowiek. Wyglądał trochę jak żebrak, ale ładny był, to mówiła i Kaśka i Maryśka i nawet sama Steinhuberka. Musiało mu być bardzo zimno w tym cienkim kubraczku. Prosił Steinhuberkę o jakąś robotę. Stara namyślała się, a potem powiada:

— Chcesz z dziewkami pierze drzeć?

On patrzył się chwilę i powiada:

— Dobrze!

— No, to siadaj! — mówi stara, a on siadł, zdjął kapelusz grzecznie i zaczął robić. Z początku mu szło jakoś niesporo, szybko się wprawił i pracował zręcznie. Ręce miał nie jak chłop, ale delikatne jak krawiec albo fryzjer. Przez cały czas nie mówił ani słówka tylko się rozglądał bardzo boleśnie. Jak skończył, a stara go się zapytała, co mu dać za to, powiedział, że ciepłej strawy, i żeby mu pozwolili przespać się w stajni. Na drugi dzień poszedł dalej.

Hortensja ręce łamała z rozpaczy.

Uspokoiwszy się, pokazała chłopce małą fotografię Leona.

Kazała sobie dokładnie określić położenie dworku Steinhuberów i zapłaciła dziewczynie.

Nie wiedziała tylko, co się z Leonem działo przez te trzy dni po wyjściu z miasta, a przed przybyciem do owego dworku. Nie przypuszczała, że on bez celu błąkał się tam i na powrót po okolicy i że dzieliła ją od niego zaledwie przestrzeń kilku mil.

Tymczasem zaczęli się zgłaszać jacyś ludzie, którzy zapewniali, że widzieli poszukiwanego. Dawali jednak nic nie mówiąc określenia i tak się plątali i wikłali na zapytania Luiga, że oszukaństwo było widoczne.

Hortensja chciała już jechać do Steinhuberów na dalsze poszukiwania, gdy zjawił się znowu jakiś człowiek mówiąc, że widział tego człowieka „co stoi w gazecie”. Opowiadał, że w dzień wigilii, wracając ze swoim panem, lekarzem w Servolo obok Tryestu do domu, na gościńcu zobaczyli jakiegoś człowieka. — Spał na kamieniach i do połowy był już przysypany śniegiem i zamarznięty. Wzięli go na powóz, ocucili i zawieźli do szpitala w Servolo.

Nie namyślając się ani chwili, kazała Hortensja wynająć konie i przez całą noc tłukła się po zaniedbanym gościńcu kilka mil do Servolo.

Przybywszy tam, kazała się natychmiast zawieźć do szpitala i wypytywała się portiera o Leona.

Ten jednak nie znał chorych po nazwisku. Powiedziała mu więc, że miał być przywieziony do szpitala w dzień wigilii i wyglądał tak a tak.

— Taki wysoki czarny? — zapytał odźwierny obojętnie — ten umarł właśnie niedawno!

Z jękiem Hortensja osunęła się na ramiona sługi.

Luigi podtrzymał upadającą, która zbladła jak śmierć.

— Zabiliście ją! — krzyczał stary sługa do odźwiernego — jak można tak bezwzględnie wygłaszać takie smutne wieści!

— A skąd ją mógł wiedzieć, że taka wielka pani zajmuje się takim włóczęgą! — bronił się odźwierny.

Pomógł jednak Luigiemu zanieść ją do izby.

ROZDZIAŁ CLXVIII

Dzień sądu dla pana Schulzego

Nad brzegiem Missisipi wesoło pracowały siekiery. Olbrzymie pnie padały pod uderzeniami silnych emigrantów i stosy drzewa nad brzegiem były coraz większe.

Gdy mężczyźni tak pracowali w lesie, kobiety tymczasem nie próżnowały w domu. Sporządzały posiłki dzień w dzień jednakowe.

Czasem tylko była odmiana, a zawsze prawie pito herbatę lub kawę bez mleka i jedzono wieprzowinę i świeżo spieczone placki z mąki kukurydzianej.

Ale głód jest najlepszą przyprawą potraw.

Rębaczom spracowanym najprymitywniejsze potrawy smakują bardzo.

Zima jest dla stosunków zdrowotnych kolonii bardzo dogodna.

Febry nie ma. Pani Brinkmann ma nawet małe rumieńce. Maryńcia jest weselsza, bawi się z rodzeństwem i dziećmi emigrantów i nie siedzi już jak dawniej osowiała w kącie.

Dla pani Brinkmann jest to niezwykła radość mieć w otoczeniu swym kobiety, z którymi może pogawędzić. Mało jest co prawda do omówienia, ale i to jest dla nich niewyczerpanym źródłem rozmów.

Rozważają sumiennie, czy zarżnąć kurę białą, czy czarną i nie mogąc się zgodzić po kilkugodzinnym rozstrząsaniu, postanawiając oddać sprawę losowi.

Pani Brinkmann nie omieszkała opowiedzieć nowym przyjaciółkom historię Zuzi i wszystkie były na nią bardzo oburzone.

— Powinno się ją powiesić! — zawołała z gniewem pani Marianna Wehlauer. — Czego jej jeszcze trzeba było do szczęścia? Czyż nie miała dobrego męża, co na nią robił?

— I ja nie pojmuję jej postępowania — odpowiedziała pani Brinkmann. — Będąc na jego miejscu nie żałowałabym jej wcale. Przeciwnie, cieszyłabym się, że się pozbyłam takiego próżniaka, darmozjada. A on zawsze spodziewa się, że ona tu wróci.

Tak jest, lampę pali przez całą noc na oknie, żeby nie zabłądziła, jak będzie wracać. Ona nie warta tak dobrego męża.

Wszystkie kobiety kolonii litowały się nad opuszczonym Mayerem i to nawet nie słowami, które mogły go ranić. Milcząc, okazywały mu różnymi sposobami, grzecznościami i miłymi niespodziankami, serdeczną życzliwość.

Ciąg dalszy na stronie 657.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

LATO

Uśmiecha się do mnie lato
Pogodne, jasne, słoneczne,
Pochmurne czasem lub wietrzne;
Kocham je właśnie tak za to,
Że, to raz deszczyk popada,
To słońce wyjrzy z za chmury —
Złotych promieni kaskada
Rozjaśni czyste lazury.
Noc w złote gwiazdy usiana
Cicha, ciepła, księżycowa;
Z pobliskich łąk pachną siana,
Na łowy wyrusza sowa.
Tu chmura komarów lata
I tnie, skoro człowiek zaśnie.
— — — — — — —
Gdzieindziej piękniejsze są lata,
Lecz ja to nasze lubię właśnie!

Hanka Kibitzówna.

CHCIEJ POCZEKAĆ!...

„Zbłąkana Gwiazda". Chciej poczekać, kochana, na odpowiedź dłuższą, gdyż narazie mam ogromnie dużo listów i nie mogę z miejsca odpowiedzieć na — choćby najmilsze mi — listy.

Muszę przestrzegać kolejności i nie tylko ja — Wujek Janusz również, jako że: „Sprawiedliwość musi być!"

Pozdrawiam Cię i całuję serdecznie.

MYLISZ SIĘ!

„Brzydka Lea". Posłuchajcie proszę, „Krainiacy", jak ujmująco przedstawia nam się „Lea", która dla mnie absolutnie nie jest i nie może być brzydką:

„Halo! Pisze stara czytelniczka, lecz nowa entuzjastka „Krainy". Pukam nieśmiało, bo nie wiem, czy znajdzie się miejsce na pomieszczenie mej małej brzydkiej osóbki.

Zapewne zapytacie się, kto ja i co chcę? Co chcę, to już wiecie — chcę należeć do Waszej ogromnej „Rodzinki". Chcę ponadto, aby ktoś skreślił do mnie kilka słów — może znalazłabym kogoś, komu mogłabym powiedzieć wszystko, co mnie zajmuje, interesuje i cieszy oraz boli.

Czekam na tych słów kilka — choćby od kogoś nieznanego, lecz umiejącego zrozumieć i — przede wszystkim — czuć! Rozumieć i czuć, że życie czasem zdaje się być cudną kolorową bajką, że wszystko na świecie zdaje się być piękne i dobre, że nie ma łez i męki. A kiedyindziej, bajka ta radosna i lśniąca — zmienia barwę i staje się boleśnie szara. Przychodzą wtedy na człowieka chwile, że czuje w duszy śmierć, że gnębią go okrutnie jakieś złośliwe chochliki, chcąc go zatruć najskrajniejszym pesymizmem, najczarniejszą melancholią.

Rzeczą człowieka jest wtedy ulec lub zwalczyć te nastroje. Jakby nie było, zawsze pozostanie na dnie duszy trochę goryczy, która truje.

No, ale tak być musi i zmienić się to nie da. Ja pesymizmowi się nie poddaję — wolą silną pokonuje wszelkie złe nastroje, gnębiące myśli. Chcę być zawsze uśmiechniętą, wesołą, bo... bo jestem brzydką dziewczynką. Jak by to było, gdybym była w dodatku smutną i może jeszcze złośliwą??

Czasem buntuję się, narzekając na los, że mnie tak pokrzywdził. Jednak na ogół jestem wesoła, miewam wyśmienity humor, a zasada „Śmiech to zdrowie" ma u mnie doskonałe zastosowanie. Kocham śmiech i zarażam nim innych.

A teraz kończę, pozdrawiając wszystkich najbrzydszych entuzjastów „Krainy". Wiem, że brzydki człowiek czuje się często bardzo nieszczęśliwy. A jeszcze!...

„Rudi 220—380" podobasz mi się — uśmiecham się do Ciebie.

„Romantycznemu Cyganowi" przesyłam na falach radiowych me ulubione tango p. t. „Maruszko".

Uśmiechnijcie się do mnie wszyscy nieznani „Krainiacy"!!

JESTEM PEWNĄ!...

„Szatynka". Stwierdzam po raz wtóry, że jesteś Pani ogromnie miłą i inteligentną osóbką. Cieszy mnie również, że przysłałaś mi twój adres. Teraz już nie omieszkają Członkinie i Członkowie, zwłaszcza członkowie „Krainki" napisać do Ciebie szeregu listów.

Wiem, że ewentualna korespondencja z panami, których pozdrawiasz da Pani dużo zadowolenia, bo są oni, jak właśnie słusznie sądzisz, inteligentni i kulturalni. Proszę mi wierzyć, że z przyjemnością prześlę Ci, Miła Dziewczynko, wszystkie listy, które wpłyną tu dla Ciebie. A że wpłyną jestem pewna!

Teraz pozdrawiam Panią serdecznie i proszę bardzo nie zapominać o „Rodzince" i jej opiekunce, Zofii oraz umieszczam komunikaty:

„Halo! „Biały Zwidzie" — piękne są Pana wierszyki i... kulturalny musi być ich autor — sądzę słusznie po formie i treści utworów.

Panie: „Białą Uajali", „Zbłąkaną Gwiazdę", „Wróżkę Alę", „Czarnego Hajduczka", i „Białą Konwalijkę" — serdecznie pozdrawiam i proszę o trochę sympatii.

Pozdrowienia zasyłam również dla „Stepowego Płomienia", „Lawrence'a", „Zrównoważonego Jasia", „Janka z K. O. P-u", „Jasia Sokoła" i „Romantycznego Śpiewaka".

Ponadto całej „Rodzince" ślę radosne uśmiechy i proszę o pamięć!"

JAK CIESZY MNIE!...

„Starsza Panna". Jak cieszy mnie, że napisała Pani znowu i że stan duchowy Pani, po tym, jakże ciężkim przejściu — uległ tak znacznej poprawie. Pragnę Ci, Kochana Moja, powiedzieć, że podoba mi się niesłychanie Twoje męstwo w znoszeniu cierpień i ta niezwykła siła z jaką je uśmierzyłaś w sercu i powiedziałaś sobie, że należy mimo wszystko jaśniej popatrzeć na życie.

Bardzo mi się to podoba, jak również Pani pismo proste, śmiałe, zwarte! Opanowanie i wspaniała siła charakteru bije z tych liter ostrych, równych, wyraźnych i takich jakichś sympatycznie estetycznych. W ogóle całość Pani listu wypadła bardzo estetycznie i pod względem duchowym i w formie zewnętrznej.

Myślę, że nasze kochane grono „Krainiaków" winno się Panią zająć z większą przyjemnością niż wielu innymi, dużo mniej interesującymi osobami.

Polecam tę Panią szczerze i gorąco Wam, Mili „Krainiacy" i proszę nie czyńcie mi przykrości pominięciem jej w waszych listach, gdyż musiałabym sobie wyznać, że dużo straciliście — a tego nie lubię.

„Zbłąkaną Gwiazdą" zainteresowała się „Starsza Panna" specjalnie i serdecznie ją pozdrawia.

Dziękuję Pani, Droga Moja, za słowa uznania i za obietnicę częstego korespondowania ze mną i pozdrawiam Ją jak najserdeczniej!

NOWY „KRAINIAK"

„Samotny Mieszczuch". Mieszka sobie ten chłopiec w Toruniu na Pomorzu, powodzi mu się dobrze, ma możność korzystania z wszelakich rozrywek dawanych przez miasto, lubi sport rowerowy i w ogóle, jak sam zapewnia, życie układa się mu gładko i miło. A jednak... a przecież!... Marzy mu się panienka o okrągłej buzi i długich warkoczach, któraby zechciała obdarzyć go sympatią i ewentualnie odbywać w liczniejszym towarzystwie toruńskich „Krainiaków" — wycieczki rowerowe.

Ten miły chłopiec twierdzi, że jest gruntownie oczarowany „Krainą", która tak wspaniale łączy, zestraja ludzi wesołych i smutnych, silnych i słabych i wszystkim daje chwile jasne i czyste. Jest jakoby dźwignią potężną, pchającą cały ten swój rojny i gwarny ludek wzwyż — ku słońcu pogody ducha i w niebo moralnej siły!

A teraz pozdrawiam Pana i życzę mu spełnienia wszystkich życzeń oraz dziękuję za przesłane w liście płatki kwiatów.

Zaś członkom „Rodzinki" wskazuję nowego braciszka w nadziei, że zajmiecie się nim, jak tylu innymi, jak ogółem naszych sympatyków i bliskich.

DZIĘKUJĘ I WZAJEMNIE ŚLĘ POZDROWIENIA...

Pan Adam Czekalski serdecznie dziękuje „Krainiakom" za słowa uznania i miłe mu pozdrowienia oraz komunikuje, że chętnie nawiąże korespondencję z pięknymi paniami i inteligentnymi panami z „Krainki". Tym chętniej, że rozporządza czasem, gdyż urządził sobie właśnie wakacje i spędza je nader miło w Busku - Zdroju.

Życzę Panu dużo przyjemności i pozdrawiam serdecznie.

CIESZĘ SIĘ NADZIEJĄ

„Dagmara". W tak ujmujących słowach prosi nas o przyjęcie do „Krainki":

„Od początku istnienia „Moich Powieści" czytam je zawsze z równą radością i zainteresowaniem i śledzę zwłaszcza, jak z tygodnia na tydzień powiększa swoje obszerne grono nasza nieoceniona „Rodzinka". Piszę nasza, gdyż sercem zawsze do tej pory czułam się jej członkiem, a od dziś chcę się stać niemniej wierną jej czynnie. Oby mnie tylko przychylnie przyjąć raczyła!

Życie moje choć płynie wartko i szumnie, jak wezbrany strumyk — ma jednak chwile smutku. Może dlatego, że daremnie szukam głębokiej przyjaźni i tego, co ma się dla mnie stać najdroższym i najbliższym.

Może Was zainteresuje bliżej moja osoba. Więc zdradzam beztrosko, iż jestem blondynką o dużych, ciemnych oczach, wesołą i podobno miłą.

Najbardziej lubię sport, muzykę i podróże, które dają nie tylko moc ciekawych wrażeń, ale i nasuwają dużo głębokich myśli, tudzież uczą człowieka, jak żyć uczciwie a niebanalnie.

Cieszę się nadzieją, że znajdą się w „Krainie" tacy sympatycy, którzy napiszą do mnie chętnie i szybko.

„Kaszubce z Pelplina" i „Jance z Pelplina" ślę siostrzany uścisk.

„Wesoły Toruniaku" — mam wrażenie, że znamy się. Napisz mi, a dowiesz się kim jestem.

„Białego Tulipana" pozdrawiam.

„Rudi 220—380" — zainteresował mnie Pan, proszę o list, a odpowiedź będzie murowana.

Wszystkich pozostałych „Krainiaków" pozdrawiam i proszę o listy kierowane na poste-restante Pelplin, dla „Dagmary".

Pozdrawiam Cię, „Dagmaro", życząc miłej i ciekawej korespondencji.

ZAŁATWIŁAM

„Ar". Przedstawioną mi sprawę załatwiłam i spodziewam się, że będziesz w przyszłości zupełnie zadowolona.

Na drugie pytanie znajdziesz odpowiedź w „Mojej Przyjaciółce" pod swoim własnym pseudonimem. Czytaj więc pilnie dział „My kobiety — między sobą".

Pragnę, aby podane wskazówki okazały się skutecznymi. Napiszesz mi — prawda?

Serdecznie dziękuję Ci za wszystkie słowa uznania dla naszego pisma i pozdrowienia dla mnie oraz całej „Rodzinki".

Ponadto umieszczam Twój komunikat:

„Pozdrawiam „Solidnego" — niech napisze znowu do mnie!

Pragnę korespondować z jakąś poważną osóbką celem wymiany myśli: Czy znajdzie się taka?

Niech się znajdzie, koniecznie, najkoniecznie j!!

CZY ZNAJDĘ?...

„Nitram". Prosi mnie o przyjęcie do grona „Rodzinki", gdyż mając do niej ogromne zaufanie pragnie w niej znaleźć serdeczną towarzyszkę życia i miłe grono przychylnych przyjaciół. Zresztą posłuchajcie, jak przedstawia on swą sprawę:

„Proszę o przyjęcie mnie, Mili Krainiacy, do swego kółka i zajęcie się mną, jak każdym miłym Wam członkiem — bratem. Zależy mi na Waszej przyjaźni, jak również na tym, abym znalazł u Was kochaną, no i ładną dziewczynkę, która lubi przyrodę i to wszystko co jest naturalne i szczere. Ponadto nie boi się mieszkać w lesie, albo na skraju lasu (jestem leśniczym).

Jak Panie widzą, jestem otwarty, co chyba nie jest wadą?! Dodam, że lubię panie, które umieją grać na jakimkolwiek instrumencie, lubią i cenią muzykę.

A jeżeli Panie i Panowie życzą sobie poznać mój rysopis zewnętrzny, to raportuję niniejszym, że mam lat dwadzieścia osiem, średni wzrost, kolor włosów ciemno - blond, szatyn, usposobienie żywe, nieskłonne do nudów i smutku.

Mieszkam nad jeziorem, więc mam możność korzystania z pprzyjemności sportu wodnego.

Jeżeli znajdę u Was, Drodzy „Krainiacy", przychylność i sympatię i zdecydujecie się napisać do mnie, to wierzcie mi, że na każdy liścik, zwłaszcza pań, postaram się odpowiedzieć. A proszę napisać możliwie szybko, gdyż we wrześniu prawdopodobnie pójdę na ćwiczenia wojskowe.

POZDROWIENIA Z WAKACYJ

„Wróżka Ala". Wiele serdecznych pozdrowień z wakacyj, spędzanych w Gdyni, przesyła nam ta kochana „Wróżka". Komunikuje ona również, że zwiedza szczegółowo port i tylko żałuje, iż nie może korzystać z kąpieli morskich, bo przeszkadza zimno i deszcz.

Specjalne pozdrowienia załącza dla „Skoczybrózdy", „Ali—Alego", „Jasia Sokoła" i sympatyków z Bydgoszczy.

Serdecznie Ci dziękujemy za pamięć i życzymy miłej zabawy oraz jak najpiękniejszej pogody!

DZIĘKUJEMY!

„Mała Konwalijka". Dziękujemy Pani, „Mała Konwalijko", za miłe słowa pozdrowień, nadesłanych nam z Warszawy. Nawiasem dodam, że fotografia nowego mostu kolejowego — jaką nam przysłałaś — bardzo jest ładna i doskonale oddaje ten niewielki kawałek Wisły i jej dwóch brzegów. Dołączę ją do pamiątek „Krainki".

Napisz mi, co porabiasz w Warszawie i jak długo tam będziesz. Poza tym, pragnę wiedzieć, czy sprawa Twej posady jest już ostatecznie i konkretnie załatwioną i czy jesteś z niej zadowoloną. Jeżeli tak, to proszę przyjmij ode mnie jedną dobrą radę, mianowicie postaraj się utrzymać na niej długo, abyś nie musiała wiecznie zmieniać miejsca pobytu i rodzaju pracy. Bo choć zasadniczo podłoże jest to samo, to jednak charaktery i zdolności nauczanych zawsze są inne, więc i Ty z konieczności musisz inaczej do nich podchodzić, naginać się do ich mentalności i nie tylko odpowiadać im, ale brać ich pod swoje kierownictwo, które musi być dobre i całkowicie odpowiedzialne. A to nie jest rzecz łatwa i absolutnie nie błaha!

Winnaś nastawić się bardziej poważnie do sprawy swego zajęcia i wziąć ją głębiej do serca, a wówczas przypuszczam wyniki będą trwałe i naprawdę widoczne. No i nie będziesz miała tylu zmartwień!

Wiesz chyba, Droga Dziewczynko, że dobrze Ci życzę i zależy mi na tym, abyś była zadowoloną i szczęśliwą w życiu.

Dlatego postaraj się zastosować do tego, co Ci wskazuję i donieś mi przy okazji, czy ułatwiłam Ci choć trochę walkę z trudnościami twego zawodu.

A jak się już ustalisz w nowym miejscu, to napisz do „Rodzinki" obszernie — wiesz, że Cię wszyscy lubimy ogromnie.

Narazie pozdrawiam Cię serdecznie i życzę pomyślności.

POZDROWIENIA DLA „KRAINIAKÓW"

„Uśmiechnięta Wandulka" przesyła bardzo serdeczne pozdrowienia z Leszna, gdzie w tym roku spędza wakacje.

Cieszy mnie bardzo, Miła Dziewczynko, że spędziłaś kilka pięknych dni w Gdyni i że reszta wakacyj upłynie Ci miło i przyjemnie w towarzystwie szczerej przyjaciółki.

Nabierz, proszę, dużo zdrowia i sił i przede wszystkim dobrego humoru.

Przypuszczam, że pogoda Wam dopisuje i możecie korzystać w całej pełni z dobrodziejstwa letnich dni sierpniowych. Proszę chodzić dużo na spacery i — o ile możności — zażywać dużo kąpieli wodnych i słonecznych. To ogromnie dobrze wpływa na samopoczucie i wzmacnia siły fizyczne.

A jak Pani wróci z wakacyj, to prosimy znowu do nas napisać. Spodziewamy się słów radosnych, pełnych życia i wewnętrznego spokoju.

Pozdrawiam Panią i dziękuję w imieniu swoim i „Krainiaków" za miłą nam pamięć.

NAWET OGROMNIE JEST MIŁY!...

„Zuch - Dziewczyna". Tak, mogę z przyjemnością to stwierdzić i powtórzyć jeszcze raz, że list Twój, Droga „Zuch-Dziewczynko", jest naprawdę niesłychanie miły. Wszystko, co mi napisałaś zgadza się z prawdą, a Ty jesteś kochanym Dzieciakiem i lubię Cię już bardzo, nie tyle siłą kolejności i, że tak powiem, dziedziczenia, lecz z własnego porywu i własnej przejmującej sympatii odczuwanej dla Ciebie.

Bo czyż można zresztą nie poczuć do Ciebie sympatii, gdy z każdego Twego słowa promieniuje dobroć i serce i gdy tak nadzwyczaj ujmująco mówisz mi, że pragniesz zjednać sobie moją dla Ciebie przychylność i sama chcesz mnie koniecznie pokochać!

Mam nadzieję, że często pomówimy z sobą i na różne tematy, a teraz — ponieważ mam jeszcze dużo listów do załatwienia — pozdrawiam Cię serdecznie i umieszczam Twój dopisek.

„Halo! W sobotę dn. 24 lipca, wieczorem o godz. 9-tej jechałam tramwajem nr. 7 w stronę pl. Reymonta. Na platformie stał mężczyzna dziwnie przypominający mi kogoś znanego.

Po dłuższym przypominaniu sobie wszystkich znanych i nieznanych mi ludzi doszłam do wniosku, że musi być to „Wirryt".

Wiem, że mieszka on w Łodzi, a znam go jedynie z fotki, umieszczonej swego czasu w „Krainie". To też pytam, czy to on właśnie był tym panem z tramwaju nr. 7?

W każdym razie, był czy nie był — przesyłam mu pozdrowienia.

Ponadto pozdrawiam „Bajkę", „Tu-Ryszarda" i „Takiego - Jednego".

NOWA SIOSTRZYCZKA

„Rena z Kujaw". Oj, jak miło mówisz o naszej „Rodzince" — Ty mała Reniu! Niemądrze z Twej strony, że tak długo zwlekałaś, nie mogąc odważyć się na zwrócenie się o przyjęcie Cię do naszego koła.

Za karę zasypiemy Cię listami, że będziesz zmuszona pisać i pisać bez końca. Czy cieszysz się na to — spodziewam się, że tak.

Ale pozwólmy przemówić Ci samej i przedstawić się wstydliwie. Śmiejesz się teraz, co? A najpierw to nie było odwagi na zakołatanie do bramy tyle upragnionego sezamu.

Ale mów już — prosimy:

„Halo! Mieszkam zdala od gwarnych miast — w uroczo położonej miejscowości na Kujawach.

Mam lat 18, jasno blond włosy i modre oczy. Jestem namiętną zwolenniczką sportu i lubię bardzo taniec, muzykę i śpiew.

Dlatego w pierwszym rzędzie pragnę nawiązać korespondencję z „Krainiakami" tych samych walorów.

Poza tym, interesuję się i zasyłam moc pozdrowień „Młodemu Orłowi", „Dzince", „Marzycielowi z nad Noteci" i „Białej Uajali".

Wszystkim zresztą „Krainiakom" życzę dużo bardzo szczęścia i zasyłam im najradośniejsze na jakie mnie stać — uśmiechy!

Teczka Wujka Janusza

W ODPOWIEDZI...

Pytasz mnie dziś, o czym ja myślę
O czym też serce me ciągle śni,
Czy ty nie wiesz, że chcę wykreślić
Z życia mego smutek, żal i łzy.

Myślę o tym, jak cudna radość
Nowym życiem natchnęła znów świat,
Jak w sercach ludzi słońce jasne
Zostawiło promienny swój ślad.

Czasem mkną myśli me daleko,
Gnane wichrem tęsknoty co dnia —
Może hen, szczęście na mnie czeka,
Jasne i ciche, co wiecznie trwa.

Są dni, że myśli me się plączą,
Wirując nad głową niby ćmy,
Wtedy szept słyszę Twój gorący,
O czemże myślisz, ach powiedz mi!

Helena Thielówna

W OGRODZIE

Len modrym swym oczkiem mruga
Do młodej zielonej gruszy;
Zazdrośnie wnet listkiem poruszy
Ta druga.

Powój się wije bez końca,
Tam wzwyż pną się winogrona,
Śliwa wyciąga ramiona
Do słońca.

A ono się śmieje z błękitu —
Zasnąć mu jeszcze nie pora,
Więc wciąż błyszczy — do wieczora
od świtu.

Hanka Kibitzówna.

PODOBA MI SIĘ

„Wirryt". Słusznie Pan zauważył, „Wirrycie", że długo nie pisałeś, a jak to uczyniłeś, to niby „Deus ex machina" spadłeś mi — ni mniej ni więcej — tylko z całą nowelą. Przyznam Ci się zresztą, że z przyjemnością przeczytałem ją sobie, poczyniłem potrzebne poprawki i zdecydowałbym się umieścić ją w „Moich Powieściach", gdybyś okazał wolę po temu. Jeżeli odpowiada Panu moja propozycja, to proszę mi napisać.

Wprawdzie zasadniczo nie korzystam z utworów początkujących entuzjastów literatury, lecz że nowela Pana jest wcale udaną, jak na pierwszą próbę i wykazuje duże zacięcie pisarskie — więc trzeba to odpowiednio uznać.

Myślę, że jest Pan zadowolony z oceny i przekonałeś się, że nie zużyłeś bezpożytecznie tej... wyliczalnej „masy papieru". No, tak, bo policzyłem arkusze i uznałem, że jest ich nie tak znowu wiele!

Za pozdrowienia dla p. Zofii i dla mnie serdecznie dziękuję w swoim i p. Zofii imieniu i wzajemnie ślę Ci serdeczności, a ponadto umieszczam Twój dopisek!

„Wszystkim, którzy pamiętają o mnie i przesyłają mi pozdrowienia, dziękuję bardzo i przesyłam wzajemne."

Raj kobiet



K 22 687. Według kroju sportowej sukienki z drobno deseniowego płótna można wykonać również bluzkę umieszczoną obok. Ilość materiału: na bluzkę 2,55 m., na sukienkę 4,70 m. szer. 80 cm.

K 22 688. Suknia w pasy z krótkimi rękawkami i okrągłym karczkiem. Przy bluzce należy górną część kroić nieco dłuższą. Potrzeba 3.90 m. na sukienkę lub 2,25 m. na bluzkę, szer. 80 cm.

K 22 689 Prosta, lecz miła w kroju sukienka z sztucznego jedwabiu w wąskie pasy; według tego kroju wykonać też można kamizelkę. Potrzeba na sukienkę 3,75 m. materiału, na bluzkę 1,45 m.. szer. 80 cm.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji w cenie 2,— zł za sztukę.

Wielkość i upadek...

W Londynie umarła niedawno żebraczka, która w ciągu ostatnich 20 lat miała stały „posterunek" na pewnej stacji kolei podziemnej, gdzie była znana pod przezwiskiem „Old Kate" (stara Katarzyna). Śmierć starej nędzarki wywołała niespodziewanie wielkie zaciekawienie i dostarczyła gazetom sporo sensacyjnego materiału.

Co się stało? Z jakiej racji dzienniki zaczęły się rozpisywać o skromnej kobiecie, jakich tyle codziennie umiera w stolicy Anglii?

Stało się, że przed śmiercią, leżąc już w szpitalu, Old Kate opowiedziała pewnej pani, należącej do Armii Zbawiciela i opiekującej się chorymi biedakami, zdumiewającą historię swego życia.

Kiedyś, przed laty, Old Kate, wówczas jeszcze, oczywiście młoda, była primadonną teatrów londyńskich i nowojorskich. Musiała być piękną, jeżeli zainteresował się nię eks-król portugalski Manuel i nawiązał z nią romans, który trwał kilka lat.

W Nowym Jorku Katarzyna Lee zdobyła wstępnym bojem czołowe stanowisko na deskach scenicznych. Wkrótce osiągnęła szczyt powodzenia. Sztukę, w której występowała w roli córki farmera z Dalekiego Zachodu, grano bez przerwy przez dwa lata przy stale szczelnie wypełnionej sali.

Zachęcony takim sukcesem swojej pupilki, reżyser, który ją „odkrył" postarał się dla niej o engagement w Londynie, gdzie również stała się szybko ulubienicą publiczności. W tym właśnie czasie Katarzyna Lee zapoznała się z królem Manuelem, który zakochał się w niej na zabój.

Miłość dostojnego kochanka była gorąca, ale z latami ostygła.

Zerwanie z Manuelem nie pogrążyło jednak pięknej Katarzyny w ciemnej rozpaczy. Nie brakowało jej przecież adoratorów, którzy czekali tylko na jej skinienie, aby ją pocieszyć. Katarzyna, kierując się rozsądkiem, wybrała spośród nich bardzo bogatego 60-letniego lorda i wyszła za niego. Niedługo z nim żyła. Małżeństwo trwało wszystkiego pół roku.

„Old Kate" nazywała się w rzeczywistości Katarzyna Lee. Była jedyną córką pułkownika amerykańskiego Houstona Lee. Wbrew woli ojca wstąpiła na scenę, ulegając namowom znanego w owym czasie reżysera, który zwrócił uwagę może nie tyle na jej talent, ile na — urodę.

Po tym Ktarzyna stanęła na ślubnym kobiercu z dyrektorem teatru, ale i to małżeństwo było krótkotrwałe.

Dopiero trzeci mąż, również bogaty lord, wytrzymał z uroczą Katarzyną 10 lat, lecz w końcu i on rozszedł się z nią nie mogąc pogodzić się z jej skłonnością do nadużywania alkoholu.

Od trzech mężów uwodzicielka otrzymała blisko 250 tys. f. szt.

Była więc bogata i nie potrzebowała zarabiać na życie. Ale po rozwodzie z trzecim mężem wróciła do teatru. Publiczność przyjęła ją z początku życzliwie. Ponowną karierę artystyczną Katarzyny zniszczył ten sam wróg, który rozbił małżeństwo aktorki z lordem — alkohol. Eks-lady nie potrafiła walczyć z fatalnym nałogiem; uległa mu tak dalece, że wychodziła nawet na scenę pijana i urządzała skandale, podczas przedstawienia. Zdarzało się także, iż upiwszy się przed występem zasypiała pijackim snem w garderobie i nie można jej było obudzić.

Koniec był taki, że musiała opuścić teatr. Nie znalazła się przecież z tego powodu w nędzy, gdyż — jak wiemy — posiadała pokaźny majątek. Zgubiła ją ostatecznie ruletka. Wyrzucona z teatru, Katarzyna Lee, którą obok pijaństwa opanował demon gry, pojechała do Monte Carlo — i przegrała tam cały majątek.

Od tej chwili staczała się co raz niżej, aż wreszcie była prymadonną, kochanka króla i żona dwu lordów — wyszła na ulicę, by prosić o jałmużnę. Ten ostatni, żałosny okres jej życia trwał 20 lat.

Po jej śmierci okazało się, że — jak na żebraczkę — miała jeszcze sporo pieniędzy: w jej materacu znaleziono 22 banknoty 100-funtowe i pudełko napełnione srebrnymi monetami. Mimo to „Old Kate" żyła jak ostatnia nędzarka i żałowała kilku groszy na kawałek chleba, tak, że przyczyną jej śmierci było wycieńczenie, spowodowane stałym niedojadaniem. Kobietę, która niegdyś wyrzucała dziesiątki tysięcy, opanowało na starość chorobliwe skąpstwo. Wolała umrzeć z głodu, niż naruszyć kapitał, pochodzący z żebraniny.

CZY WIECIE, ŻE...

W Chicago powstała osobliwa organizacja pod nazwą: „stowarzyszenie małżeństw powstałych dzięki ogłoszeniom". Do stowarzyszenia tego należą osoby, które poznały się i prowadzą pożycie małżeńskie na podstawie inseratów zamieszczonych w prasie amerykańskiej.

Na czele tego związku stanął ceniony w Chicago adwokat Ryszard Parker. On też jest właściwym inicjatorem tego stowarzyszenia. W poczet listy członków zapisało się 46 par małżeńskich, wnosząc jako składkę po 3 dolary miesięcznie. Stowarzyszenie ma drogą życia towarzyskiego łączyć i utrwalać życie domowe. Adw. Parker pragnie poza tym zaprzeczyć niejednokrotnie spotykanym zarzutom, przeciwko niepowodzeniu akcji kojarzenia małżeństw za pośrednictwem prasy.

—o—

W ogrodzie botanicznym w dzielnicy Bronx zakwitł po raz pierwszy sprowadzony z Sumatry największy kwiat na świecie znany w botanice p. n. Amorphophallus Titanum. Roślinę tę w postaci 40-o funtowej „cebulki" sprowadził zarząd ogrodu przed 5-u laty. Co roku wyrastało z tej cebulki kilka liści, które w krótkim czasie więdły. Dopiero tego roku udało się ogrodnikom doprowadzić gigantyczną roślinę do rozkwitu. Przy niesłychanie wilgotnej atmosferze i temperaturze 35 o C. kwiat wystrzelił w górę w przeciągu 12-u dni. Jest to olbrzymi kwiat o kształcie wywróconego dzwonu, zielono niebieski u spodu, gdzie ma w obwodzie około 3 metrów. Z dzwonu tego wystrzela olbrzymia jasno-żółta kwiat — łodyga wysokości również 3 metrów.

Fotografowie i dziennikarze pospieszyli oczywiście oglądać to dziwo przyrody, ale żaden z nich nie mógł wytrzymać w cieplarni dłużej niż kilka minut. Amorphophallus Titanum wydaje bowiem duszącą woń zgniłych ryb tak silną, że tłumi ludziom oddech.

—o—

Turcja modernizuje się we wszystkich dziedzinach życia, gdyż rząd Kemala Atatürka popiera gorąco wszystkie inowacje, które przyczyniają się do europeizacji kraju. Ten sam rząd jednak okazuje się nieubłaganym przeciwnikiem... kosmetyki, jeśli chodzi o pracowniczki w służbie państwowej. Tak więc tureckie ministerstwo oświaty wydało rozporządzenie, na mocy którego zabrania się nauczycielkom w szkołach powszechnych i średnich używać karminu i pudru. Nauczycielki, które będą postępowały wbrew tym przepisom, mają być bezwzględnie zwalniane z posad.

—o—

W Hollywood, niektóre gwiazdy filmowe zaczynają lansować zwyczaj angażowania zdolniejszych artystów malarzy do ozdabiania paznokci. Nie będą więc już nadal paznokcie poddawane operacji barwienia jednostajnego, lecz każdy ma nosić na sobie ślady pendzla mniej lub więcej znanego artysty malarza, słowem dziesięć palców gwiazdy filmowej ma stanowić pewnego rodzaju galerię obrazów miniaturowych. Czy się ta moda przyjmie, przyszłość

niedaleka pokaże. W każdym razie można mieć nadzieję, że przynajmniej kilku artystów malarzy nieco sobie zarobi przy tej okazji.

—o—

Świat i życie

Wagon żelaza w naparstku

Uczeni w ostatnich latach wtargnęli niezwykle głęboko w tajniki otaczającego nas świata, i w tajniki materii, z której świat ten jest zbudowany. Fizycy i chemicy tak długo wdzierali się w istotę cegiełek, z których zbudowana jest materia, t. zw. atomów, aż w końcu okazało się, iż taki atom jest prawie pusty. I otóż z bilionów takich prawie pustych nicostek zbudowana jest materia, z której stworzony jest człowiek i ziemia, słońce i gwiazdy, cały wszechświat.

Uczeni stanęli u progu całego szeregu zdumiewających prawd, zagadki okryć, kiedy stwierdzili, iż wnętrze atomu, tej najdrobniejszej cząstki naszej materii, przedstawia świat dla siebie o niezwykle skomplikowanej strukturze. Każdą z tych najdrobniejszych cząstek, którą dotychczas przez setki lat uważano jako ostateczną praczątkę materii, okazała się całym systemem słonecznym o niezwykle, nieprawdopodobnie drobnych rozmiarach. Każdy atom posiada centralną gwiazdkę, jądro, naładowane elektrycznością pozytywnie. Dookoła tego miniaturowego słońca centralnego wirują z zawrotną szybkością niezliczone elektrony, naładowane negatywnie, pewnego rodzaju planety atomistyczne, krążących dookoła swego słońca atomistycznego. W tym miniaturowym świecie o nieskończenie drobnych wymiarach odległość elektronów negatywnych od ich centralnego jądra słonecznego jest nieprawdopodobnie olbrzymia. Brzmi to niezwykle paradoksalnie. Odległość ta jest tak olbrzymią, oczywiście w porównaniu od tych ultramikroskopijnych wymiarów atomu, którego średnica wynosi zaledwie 10-milionową część milimetra.

Odległość elektronów od ich centralnego jądra jest relatywnie daleko większa niż odległość ziemi, Marsa, Jowisza od słońca.

Wyobraźmy sobie te odległości na następującym przykładzie: W ziarnku złota, które waży 20-tą część grama, znajduje się tyle miliardów atomów, iż ich olbrzymia liczba przedstawia olbrzymią cyfrę o 27 zerach. Jakże nikłe musi więc być jądro jednego atomu złota, aby owe 79 elektronów, które krążą dookoła tego jądra, mogły w tym ultramikroskopijnym światku wirować w tak relatywnie olbrzymiej odległości. Nie przesądzimy więc, jeśli powiemy, iż przestrzeń atomu złota jest prawie pusta, gdyż w środku jego znajduje się jedynie nieskończenie mała nicostka jądra, dookoła którego w olbrzymiej odległości krążą nieskończenie mniejsze jeszcze elektrony.

Każdy atom możnaby porównać z pustym pudełkiem, w którym przyroda z niezwykle lekkomyślną rozrzutnością przestrzeni umieściła jedynie niezmiernie malutką cząstkę próbną materii, właśnie owe jądro, opakowane w powłokę elektronów. Jeśli promień Roentgena przebija cienką płytą metalową przebija on raczej sito, a w locie swym przemierza pustkę, jądra.

Znajdujące się w środku atomu jądro centralne składa się z cząstki materii, nieskończenie zgęszczonej. Gdyby np. z wagonu żelaza można usunąć wszystkie elektrony poszczególnych atomów, lub gdyby tę masę żelaza można tak ścisnąć, iż elektrony przylegałyby ściśle do jądra, wówczas z tej olbrzymiej masy żelaza pozostałaby ilość, jaka pomieściłby się mogła w naparstku. Ten naparstek jednakże zawierałby całkowitą materię poprzedniej masy żelaza i ważyłby również tyle, co poprzednio. Otrzymaliśmy więc naparstek materii, którego nie zdołaloby unieść 50 najsilniejszych ludzi.

Trudno się oprzeć myśli, jakby wyglądały światy zbudowane z tak skoncentrowanej materii. Tymczasem światy takie nie są bynajmniej pustym tworem czystej wyobraźni. Światy jakie istnieją. Dalekie gwiazdy zbudowane są z tej cudownej materii i dają nam znak życia o sobie, kiedy wzrokiem zapuszczamy się w niezmierzone, przepastne głębie nieba wieczornego.

JACQUES BRIEUX.

Dwaj bracia

Nie ma dla mnie większej rozkoszy, jak latem, na Korsyce, wędrować przed siebie, bez celu po nieznanych mi drogach.

Wychodzę o świcie i często pod wygwieżdżonym niebem spędzam noc.

Pewnego ranka pociągnęła mnie kamienista ścieżka, wijąca się wśród kwitnących mirtów, obsypanych owocem dzikich pistacyj i cierni uginających się pod kiściami jeżyn, wielkich, soczystych i słodkich jak miód.

Leciuchny powiew od morza muskał mi czoło, łagodząc żar palącego słońca.

W oddali beczały stada owiec, poszczekiwały leniwie psy, a na granitowej skale przysiadł nieruchomy orzeł. Nagle rozwinął skrzydła i wzniósł się w przestworza.

Czułem się szczęśliwy. Lekko mi było na sercu. W chwilach zmęczenia siadałem na przydrożnym głazie i patrzyłem w dal przed siebie. Morze spokojne, błękitne drzemało u mych stóp, odbijając w swej toni niezrównany lazur nieba.

Był lipiec. Chwilami dochodził śpiew żniwiarzy. Pod wieczór, często przystając i odpoczywając, doszedłem do jakiejś małej wioszczyny.

Wszystkiego było sześć domostw z wąskimi okienkami i ciemnymi ścianami. Porośnięte mchem dachówki przytrzymywały równie omszałe kamienie. Kozy już uwiązano przy progu. W ogródkach wszędzie te same altanki, porośnięte winem i drzewa figowe.

Stanąłem pod zmurszałym krzyżem i namyślałem się, co dalej robić.

Kobiety o powolnych ruchach, smukłe, ciemnookie i czarno ubrane czerpały wodę u studni.

Odpowiedziały uśmiechem na moje powitanie. Jedna zapytała, skąd przybywam i dokąd idę.

— Wędruję dla przyjemności — odrzekłem — podoba mi się ta wioska. Czy mógłbym tu przenocować?

— Będzie pan miłym gościem — zapewniła mnie z powagą.

Szły jedna za drugą, niosąc dzbany na głowie. Półnagie dzieci trzymały się ich spódnic, przypatrując mi się nieufnie.

Poszedłem za nimi i przed pierwszą chatą przysiadłem na kamiennej ławce. Patrzyłem na gaje oliwne i stuletnie dęby piętrzące się dokoła po skalistych zboczach.

Powoli mężczyźni uznojeni wracali ze żniw. Mieli długie włosy i brody i szczere energiczne spojrzenia.

Pokłonili mi się nisko, ale bez uśmiechu. Gospodarz, u którego miałem spędzić noc, przysiadł się do mnie. Żona jego przygotowywała wieczerzę, a dzieci, onieśmielone, przyglądały mi się z daleka.

Z apetytem zasiadłem wraz z całą rodziną do posiłku. Zupa, ser kozi i chleb jęczmienny smakowały mi wybornie.

Gdy dzieci ułożyły się do snu, wróciłem na ławkę przed domem. Gościnny gospodarz dotrzymywał mi towarzystwa.

Upojony czarowną nocą, przesyconą aromatami, których Korsyka jest jedyną ojczyzną, szepnąłem:

— Błogosławiony kraj! Szczęśliwi ci, co się tu rodzą i tu umierają.

— A jednak i u nas zdarzają się zbrodnie i u nas płyną łzy — usłyszałem w odpowiedzi. — Niech pan posłucha·

— Byłem wtedy dzieckiem, a do dziś nie mogę zapomnieć straszliwego widoku, jaki się pewnego dnia moim oczom przedstawił.

Mieszkali w naszej wsi dwaj bracia. Paweł i Jan. Kochali się bardzo. Rodzice wcześnie ich odumarli. Wychowywali ich stryjowie. Wyrośli na dzielnych, silnych chłopców, lubianych przez wszystkich.

Paweł ożenił się z śliczną i dobrą dziewczyną. Nikt nie słyszał, aby Maria kiedykolwiek głos podnosiła.

Gdy po trzech latach pożycia wciąż jeszcze nie była matką, Paweł powiedział bratu, że się i on musi ożenić, bo nie będzie komu zostawić dobytku.

Jan długo się namyślał, aż kiedyś na weselu zakochał się na śmierć w młodej pastuszce Julii. Trudno było bez zachwytu patrzeć na jej włosy czarne jak węgiel, usta purpurowe, oczy rzucające skry spod długich rzęs i wiotką kibić.

Wkrótce piękna Julia została żoną Jana. W przeciwieństwie do Marii była gwałtowna i zazdrosna. Owładnęła mężem całkowicie. Nie widział za nią świata.

Julia nie znosiła bratowej. Zaczęła podburzać Jana przeciwko niej. Ten z początku nie dawał posłuchu jej skargom, ale wkrótce uległ wpływowi żony i także krzywo jął spoglądać na Marię.

Pierwsza w życiu kłótnia między braćmi wybuchła siekierę. Sąsiedzi ich rozbroili.

Ale w kilka dni po tym, gdy obydwaj pracowali w polu, rozległ się strzał. Ludzie się zbiegli i ujrzeli Pawła leżącego bez życia w kałuży krwi.

Posądzono Jana, ale wypierał się rozpaczliwie, a sąsiad i jego żona upewniali, że w chwili, gdy usłyszano strzał, Jan był u nich.

Któż w takim razie mógł być zabójcą? Paweł nie miał wrogów. Nie zdołano rozwikłać ponurej zagadki.

Maria wróciła do rodziców.

Julia została sama w domu, ale wszyscy od niej stronili, nie miała ani jednej przyjaciółki.

Jan wpadł w bezgraniczną rozpacz. Wychodził przed świtem, a wracał dopiero, gdy noc zapadła. Nawet w niedzielę go w domu nie było. Ci, co go przypadkiem spotkali, na widok desperackiego jego wyglądu, zdjęci lękiem, usuwali mu się z drogi. Pewnego wieczoru nie wrócił.

Julia na próżno go wyglądała. Po miesiącu także opuściła wieś i wróciła do siebie.

Mały domek, w którym bracia, zanim się pożenili, byli tak szczęśliwi, zabito deskami. Otrzymał on miano „domu przeklętego". Dziś dach się zawalił, a i ściany się rozsypują. Ruiny porosły ciernie i chwasty. Przechodnie, idąc tamtędy, trwożnie kreślą znak krzyża.

Gospodarz skończył swą opowieść. Milczeliśmy przez długą chwilę, po czym on, który miał się zerwać o świcie, poszedł spać.

Zostałem sam. Wtem przyszła mi myśl obejrzenia ruin przeklętego domu. Łatwo do nich trafiłem. Stanąłem w zamyśleniu, patrząc na zalane księżycową poświatą szczątki domostwa.

Nagle usłyszałem rozpaczliwy szloch. O kilka kroków ode mnie klęczał, bijąc się w piersi, jakiś człowiek, odziany w zgrzebne płótno, znaczone na piersiach i plecach wielkim czarnym krzyżem.

Zdjęła mnie głęboka litość.

— Dlaczego płaczesz? — zapytałem.

— Jestem największym grzesznikiem, jakiego ziemia nosiła. Zabiłem brata. Umknąłem sprawiedliwości ludzkiej, ale boska mnie dosięga. Tułam się, szarpany strasznymi wyrzutami sumienia. Co noc przychodzę tu z ukrycia, gdzie modlę się cały dzień, żywiąc się, jak zwierzęta, trawą i korzonkami. Oddaj mnie w ręce ludzi, niech karę wymierzą.

Objął moje kolana i osunął się do moich nóg. Schyliłem się, by go podnieść; był martwy.

Pośpiesznie wróciłem do chaty.

— Bierz motykę i łopatę i chodź ze mną — powiedziałem cicho gospodarzowi, zbudziwszy go z twardego snu.

— Znalazł pan pewno skarb — szepnął.

Zobaczywszy trupa, zatoczył się z przerażenia.

— To Jan — wybełkotał.

— Trzeba go pochować, nie mówiąc nikomu.

— Wykopaliśmy grób wspólnymi siłami.

Na piersi pokutnika złożyliśmy dwie gałązki na krzyż i zasypaliśmy pośpiesznie mogiłę ziemią i kamieniami.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

Ułoż. Witold Mataczyński — Łysinin.

Tłum	dziel	lu	ni	mo
cię	o	nie	nych	dzi
i	bez	żą	że	zaw
nak	mu	o	wiel	a
bejść	kich	jed	sze	się

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

DOMYŚLANKA

pod M. Z.

I b..d s.. n.. c.ś p..y.a — p...n...iej na p..es...gę d.a d..gi..

Odczytać myśl polskiego pisarza — Fredry.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązanie należy nadsyłać do środy, 18 sierpnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 31 „Moich Powieści": Logogryf: Rydz Śmigły. Homonimy: 1) Obojczyk. 2) Odra. 3) Oliwa. 4) Odprawa. 5) Oko. 6) Orzeczenie.

Trafne rozwiązanie zadań nadesłali p. p.: Edmund Lewandowski — Toruń, Roman Michalski — Brodno, Zbigniew Kujawski — Poznań, Edmund Fiałkowski — Poznań i Bogdan Siemianowski — Mogilno (tylko jedno zadanie).

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Lewandowskiemu z Torunia i Kujawskiemu z Poznania.

Naprawiały i prały mu starannie bieliznę, co Zuzia zawsze zaniedbywała. Gdy surdut jego się wytarł i zaczął się rozpadać, sporządziła mu pani Brinkmann nowy i to z własnego sukna, domowego wyrobu.

Łóżko jego ścieliły codziennie, a pościel była zawsze nienagannie świeża. Skarpetki, które Zuzia niedbale łatała kawałkami sukna, Marianna cerowała porządnie. Wszystkie zwracały się do niego z ogromną serdecznością i dziwnie delikatną przyjaźnią.

Był im ogromnie wdzięczny, lecz niemniej ożywić się nie mógł. Cichy i ponury, siedział milcząc wieczorem przy ognisku i ożywiał się tylko między dziećmi, którym wyrzynał z drzewa zabawki.

W wigilię zrobił im niespodziankę z Bożego drzewka, które ozdobił kolorowymi świeczkami i obwiesił cukierkami. Umyślnie po to poszedł piechotą aż do Willenstown. Zakupił mnóstwo zabawek, a gdy dzieci wieczorem naokoło drzewka tańczyły z radości, wymknął się i płakał w lesie rzewnymi łzami.

Zuzio, Zuzio! Te łzy padną ci kiedyś ciężkie jak ołów na serce i sumienie.

Z bolesnym wyrazem twarzy wrócił do domu.

Dzieci otoczyły go natychmiast, okrywając pocałunkami i dziękując, a Maryncia rzekła poważnie:

— Jeżeli chcesz poczekać wuju aż wyrosnę, to wyjdę za mąż za ciebie.

Gdy na to wszyscy się roześmiali, Maryńcia obraziła się, zawstydziła i uciekła do kąta, gdzie siedziała tak długo, aż ją Mayer wreszcie nie wyciągnął.

W niedoli pocieszała go tylko ta jedna myśl, że proboszcz w Königswalden otrzymał jego list i skutkiem tego nieszczęśliwy hrabia odzyskał wolność.

Gdyby był wiedział, jak go i pod tym względem oszukała niesumienna żona!

— — — — — — — —

Wieczorem, gdy osiedleńcy siedzieli naokoło ciepłego ogniska, rozmawiali często o oszustwach Schulzego i o tym, jak by go przychwycić i ukarać.

Po długich namysłach postanowiono, że pojedzie tylko najstarszy Wehlauer, a z nim Brinkman, który umiał po angielsku.

Kobiety przygotowywały im wszystko do podróży i gdy nadjechał utęskniony parowiec i zatrzymał się by zakupić drzewo, pożegnały ich ze łzami na długo.

Mayer widział łzy w oczach pani Brinkmann, która tak niechętnie rozstawała się z mężem, nawet na najkrótszy przeciąg czasu i porównał to w duchu z swoją dolą. I znowu cisnęły mu się łzy do oczu i gardło ściskał kurcz bólu, ale mimo wszystkiego kochał niewierną swą żonę.

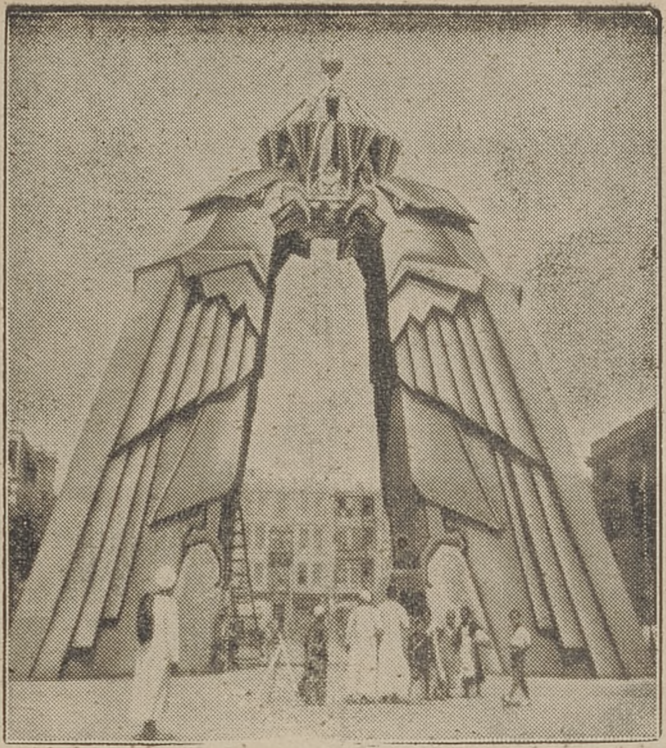
— — — — — — — —

Pewnego wieczora Wehlauer z Brinkmannem przybyli szczęśliwie do New Yorku.

Zajechali do skromnego zajazdu, gdzie mimo iż byli zmęczeni podróżą, nie mogli zasnąć, gdyż byli bardzo poirytowani.

Rano ubrali się i zjadłszy śniadanie, pojechali do Castle Garden.

Tam spytał Brinkmann, czy sygnalizowano przybycie jakiego okrętu. Ale że to była zima, wśród której nie tak często przyjeżdżają okręty z emigrantami, powiedziano im, że nie. Nie zniechęcili się jednak tym, i umieścili się niedaleko rotundy, obok której musieli przechodzić emigranci.



Łuk triumfalny w Kairo, wzniesiony podczas koronacji młodocianego króla Faruka I.

Czekali tam cierpliwie do zachodu słońca. Pod wieczór przyjechał jeden okręt, ale już było za późno do wylądowania.

Wiedział Brinkmann, że Schulze, stary praktyk, nie przyjdzie na próżno i wie dobrze o tym, że tego dnia nic tu nie zdziała, ale przypuszczał, że na drugi dzień rano na pewno będzie w porcie.

Wehlauer nie sprzeciwiał się i milcząc poszli szukać w Castle Garden noclegu, aby się nazajutrz nie spóźnić.

Głodni byli i zmęczeni i tęsknili już do ciepłego kąta i ciepłej strawy.

To też gdy przybyli do pierwszej z brzegu gospody, zajadali tak smacznie, że to zwróciło uwagę gospodarza.

W Ameryce bowiem tak samo jak w Anglii jest zwyczaj, że każdy z gości ma zapłacić za ilość i jakość potraw. Nie ma więc pojedyńczych porcyj na talerzach, lecz każdy z gości nakłada sobie sam z półmiska na talerz.

Poleciwszy się zbudzić nazajutrz o godzinie piątej rano, położyli się spać.

Spali snem twardym i zdziwili się, gdy usłyszeli pukanie do drzwi, gdyż wydawało im się, że dopiero przed chwilą usnęli.

Szybko ubrali się, nie czekali nawet na kawę, tylko napiwszy się po kieliszku koniaku, poszli nad brzeg morza.

Tam lądowanie pasażerów z okrętu jeszcze się nie rozpoczęło.

Ukryli się więc i z ukrycia przypatrywali się wszystkiemu.

Wkrótce rozpoczął się ogromny ścisk i natłok pasażerów, tragarzy i wszelkiego rodzaju sług, którzy usługi swoje ofiarowywali przybyszom.

Z bijącym sercem patrzył Brinkmann na ten duży tłum.

Nagle zabłysnęły jego czarne oczy.

— O, tam — szepnął towarzyszowi — ten w czerwonej czapce.

Wehlauer poznał także Schulzego.

Pierwszą jego myślą było rzucić się na tego łotra, udusić go na miejscu, ale Brinkmann nie dopuścił do tego.

— Czekajmy — rzekł — złapiemy go na gorącym uczynku. Patrz pan. Właśnie ciśnie się do tej pary małżonków, którzy mają tyle pakunków. Podsłuchajmy, co on będzie mówić z nimi.

Wehlauer pohamował wybuch swej wściekłości i zakradł się razem z Brinkmannem w pobliże Piotra Schulzego.

Tam usłyszeli następującą rozmowę:

— Ach, moi państwo — rzekł Schulze, ściągając uprzejmie kapelusz — nie moglibyście mi państwo powiedzieć, czy nie przyjechał tym samym okrętem niejaki Schulze, blondyn, średniego wzrostu? Miał jechać na środkowym pokładzie, chociaż mógł sobie był kupić lepsze miejsce. Szkoda mu było pieniędzy. Ja sam znam zresztą ludzi, którzy mają tysiące, a nie jeżdżą lepiej .

— I my nie musielibyśmy jechać na środkowym pokładzie, a mimo to jechaliśmy — odpowiedziała mu kobieta.

— Zupełnie mądrze, szkoda pieniędzy — uśmiechnął się pan Schulze — ale powiedzcie mi moi państwo, czy nie jechaliście z moim bratem, panem Schulzem?

— Nie — odpowiedzieli małżonkowie prawie równocześnie — ale w kajucie pierwszej klasy jechał jakiś pan Schulze.

— To nie on — odpowiedział pan Schulze, trzęsąc głową — na to on za mądry, po pierwsze, a po drugie posłałem mu sam bilet drugiej klasy. Jestem pewny, że siostry go nie puściły. Te pokrewieństwa, to czasem prawdziwa plaga. Jeżeli człowiek dorobi się czegoś, zaraz go wyzyskują, niby to pytają o radę, a ostatecznie każdy robi swoje. Teraz mnie znów narazili na straty. Kupiłem dla niego cudowną posiadłość, urodzajna ziemia, wspaniała okolica, a ten niewdzięcznik, nie przyjechał. Pół roku już mnie wodzi za nos, że przyjedzie i wciąż kłamie, siedząc sobie spokojnie w domu. Ale dość już tego dobrego, sprzedam tę posiadłość chociażbym miał stracić 10000 dolarów.

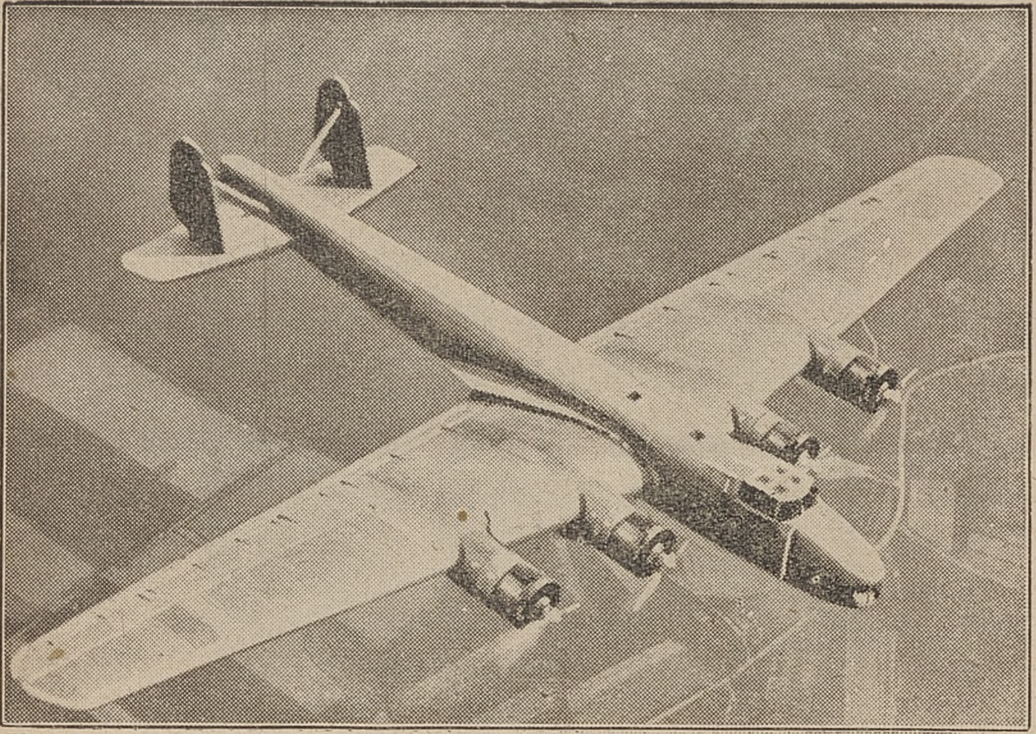
Na te słowa dama „odkrząknęła" i trąciła męża w bok.

Ten krząknął również i zapytał:

— Czy to może gdzieś niedaleko? Bo i my chcemy kupić sobie posiadłość ziemską.

— Naprawdę? — zapytał pan Schulze zdziwiony — pan chce kupić ziemię? Myślałem, że pan jest kupcem. Nie wygląda pan na gospodarza wiejskiego.

Schulze kłamał jak najęty, gdyż w przybyszu z daleka poznać można było wzbogaconego chłopa.



W zakładach lotniczych we Friedrichshafen (Niemcy) zbudowano wielki 4-motorowy samolot pasażerski do lotów długodystansowych.

Toteż obcy ucieszył się po cichu i zapytał z uśmiechem:

— Czy ta posiadłość jest gdzieś niedaleko?

— O, trochę daleko — odpowiedział pan Schulze — ale to panu powiadam, że jest niezrównaną. Nazywa się „Szczęście i błogosławieństwo Boże“ i przynosi rzeczywiście szczęście i błogosławieństwo Boże. Pan mi się podoba sprzedałbym ją panu.

Wehlauer usłyszawszy to, skoczył jak tygrys na nieprzygotowanego ani nic złego nieprzeczuwającego oszusta i chwycił go za kołnierz.

— Łotrze — wrzasnął — ile razy chcesz sprzedawać jeden i ten sam kawałek ziemi?

Schulze zdrętwiał i osłupiałym wzrokiem patrzył na groźną postawę chłopa i jego olbrzymie pięści.

— Łajdaku — krzyknął teraz Brinkmann — morderco, któryś zamordował niewinne moje dzieci — zbóju ty!

Naokoło nich zaczęły natychmiast zbierać się tłumy ludzi.

Schulze, trzymany żelazną ręką Wehlauera wołał o pomoc:

— Ratunku! — krzyknął — wariat chce mnie udusić! Wariat! Ratunku!

— Kłamie, nie wierzcie mu, ludzie — odpowiedział donośnym głosem Brinkmann. — To jest oszust, złodziej i morderca. On jest przyczyną śmierci moich dzieci.

— Szmer oburzenia ozwał się wśród otaczającego ich tłumu.

Schulze zaś usiłował wywinąć się żelaznym pięściom Wehlauera i wrzeszczał:

— Gwałtu! — Ratujcie mnie od tego pijaka! On pijany.

— Pijany? — zapytał Brinkmann oburzony i ściągnął go po plecach swą laską.

— Puść mnie! — krzyknął oszust. — Ludzie, ratujcie:

— Niech się nikt nie waży ratować go — odpowiedział Brinkmann. — Powiem wam, co to za jeden i za każde moje słowo ręczę głową i życiem. Tego oto człowieka — tu wskazał na Wehlauera — oszukał w ten sposób, że sprzedał mu farmę, która nie była jego własnością. Biedny, oszukany przybył do odludnej, bagnistej okolicy i byłby tam zginął z głodu, gdyby nie litościwi sąsiedzi.

— On kłamie — jęknął Schulze.

— Milcz łotrze — krzyknął Brinkmann, uderzając go znowu kijem, a Wehlauer poprawił mu jeszcze pięścią.

— Ty jeszcze śmiesz nam zarzucać kłamstwo?! — zawołał trzęsąc nim — ty zbrodniarzu przeklęty, który ludzi wysyłasz na pewną śmierć.

Oburzenie tłumu było tak wielkie, że Schulze byłby zlynczowany na miejscu.

„Lyncz“ jest to prawem uświęcony zwyczaj, że tłum sam wymierza sobie sprawiedliwość nad ludźmi, którzy sobie na to zasłużyli i sam wymierza mu ciężką karę.

Zaczęły padać kamienie na oszusta, następnie dały się słyszeć tu i ówdzie rozmaite propozycje, co z nim zrobić.

— Powiesić — mówił jeden.

— Utopić — wołał drugi.

Schulze widział, że może być źle.

— Puśćcie mnie — prosił — do domu, a w domu oddam wam wszystkie pieniądze. Przy sobie mam zaledwie kilka groszy.

— To zobaczymy — zawołał ktoś z tłumu i przemocą zerwał zeń surdut.

Przeszukano mu kieszenie, gdzie się pokazało, miał schowane gotowe już kontrakty sprzedaży farmy: „Szczęście i błogosławieństwo“, „Kopalni złota“ (w której mieszkał Brinkmann) i farmy „Raj“ (gdzie mieszkał Frorenz).

— Macie oszusta — krzyknął Wehlauer, nie posiadając się ze złości — przecież te farmy mają już właścicieli. Jakże ten łotr może się ośmielić znowu je sprzedawać. Tak samo ja mógłbym sprzedać komuś całą Amerykę.

— Chodź, chodź kochasiu — zawołał majtek — umoczymy cię trochę w wodzie. Pewno się już dawno nie kąpałeś, co?

— Goddam! co nam z tego przyjdzie? — drwił sobie Szkot. — To, że się pozbędziemy diabła i przetransportujemy na drugi świat jednego z największych łotrów, jakich ziemia nosiła. Nie mą żadnej litości nad tobą, oblejemy cię smołą.

— Nie, powiesimy go — krzyknął jakiś Irlandczyk — taki potwór musi wisieć.

— Zgoda, nie jestem uparty — zawołał Szkot. — Niech ten łajdak wisi. Oto topolą, jakby stworzona na szubienicę. Marsz, naprzód!

— Najpierw niech odda to, co wyłudził u tych biednych ludzi — zawołał z tłumu cieńki głosik kobiecy. — Zmuście go do tego. Zaprowadźcie go do sędziego pokoju.

— Do sędziego! Do sędziego — powtórzyli wszyscy chórem.

Podniesiono Schulzego z ziemi. Tłum popychał go naprzód i unosił prawie. Zdarli mu płaszcz i surdut tak, że łotr trząsł się od porannego zimna i dzwonił zębami.

Jeden z odprowadzających złapał Schulzego za kamizelkę, gdy zauważył że ten chce rzucić się na ziemię. Silna ręka napastnika szarpnęła kamizelkę tak, że materiał wierzchni oddarł się od podszewki i wyleciało mnóstwo banknotów.

— Zbierajcie — zawołał jakiś Niemiec — aby się nic nie zatraciło.

Brinkmann pozbierał z ziemi porozsypywane banknoty i schowawszy je starannie do swej kieszeni, rzekł głośno i dobitnie:

— Najlepszy dowód winy tego człowieka jest, że nosi swój majątek zaszyty w ubraniu. Przygotował się na to, aby od razu mógł opuścić Nowy York, gdyby go jedna z nieszczęśliwych ofiar jego odszukała i zdemaskowała.

— Słusznie — wołał otaczający go tłum, a ktoś krzyknął:

— Macie już swoje pieniądze, biedni, oszukani ludzie. Dajcie nam teraz tego łotra, abyśmy go za jego oszustwa ukarać mogli.

— Nie, bracia — zawołał Brinkmann energicznie — nie uprzedzajmy sprawiedliwości i zaprowadźmy tego łotra do sędziego (zwanego w Ameryce „sheriff“). Tyle z jego winy cierpiałem, że chciałbym, aby mu wymierzono taką karę, na jaką według prawa zasługuje.

— Niech się stanie jego wola — zawołali obecni znów chórem. — Jeżeli sędzia nie da nam satysfakcji, to jeszcze zawsze możemy go zlynczować.

Gromadą podążali teraz do „sheriffa“ pędząc przed sobą delikwenta, który kilka razy usiłował uciec, ale zawsze na próżno. Rzucał się na ziemię, ale i to mu nic nie pomogło, bo go podnoszono i szturchańcami zmuszano do dalszej drogi.

— Pozwól mi uciec — szepnął Schulze mężczyźnie, który go trzymał za kołnierz. — Mam jeszcze schowane pieniądze i podzielę się nimi z tobą, jeżeli mi ułatwisz ucieczkę.

— He, hola — krzyknął tenże — źle tego łotra przeszukaliśmy, kochani ludzie. Mówi mi on właśnie, że ma jeszcze pieniądze przy sobie.

— On kłamie, kłamie — wrzeszczał Schulze. — Nie powiedziałem ani słowa, bo gdzież mogę mieć jeszcze pieniądze, kiedyście mi wszystko, co posiadałem odebrali.

Znajdziemy już te twoje pieniądze, łotrze — zapewniał go Irlandczyk, podsuwając mu pod nos grubą swą laskę. — Wynajdziemy je, choćbyś nawet te banknociki miał schowane pod skórą.

Słowa swe poparł kilkoma silnymi szturchańcami.

Droga, która prowadziła do sędziego, była dla Schulzego prawdziwą męką. Nie tylko na ciele miał sińce z uderzeń rozszalałej tłuszczy, ale i oko podbite i na czole ranę, z której krew ściekała strumieniem po twarzy. Ubranie na nim było poszarpane a zimny wiatr dokuczał bardzo.

Przez wiele lat uchodziły mu jego sztuczki bezkarnie, aż dziś wreszcie nadszedł dla niego dzień kary.

Dzwoniąc zębami, oglądał się Schulze po swoim otoczeniu, ale w licznym tym tłumie nie spostrzegł ani jednej współczującej duszy. Z oczu wszystkich czytał nienawiść i pogardę. Każdy z otaczających uważał go za zbrodniarza, który zasługuje na szubienicę, każdemu chodziło o jego życie, o to życie splamione zbrodniami, do którego Schulze jednak tak był przywiązany, że nie miał goręcszego życzenia, jak utrzymać się przy nim jak najdłużej.

Wreszcie okazał im się dom sheriffa. Wehlauer i Brinkmann wytoczyli przed sędzią całą sprawę i oskarżyli Schulzego o haniebne oszustwo, które popełnił nie tylko dla nich, ale jeszcze i na wielu innych ludziach.

— Czy uznajesz pan swoją winę? — zapytał sędzia oskarżonego.

— Nie, nie — krzyknął delikwent dobitnym głosem — jestem zupełnie niewinny. To jest omyłka co do osoby, gdyż ja obu tych panów, którzy mnie dziś oskarżają, nie widziałem nigdy na oczy. Nie wiem również nic o farmie „Szczęście i błogosławieństwo Boże" ani też o tej drugiej zwanej „Kopalnia złota".

— A przecież znaleźliśmy w kieszeniach tego łotra kontrakty sprzedaży tych farm — zawołał Irlandczyk — oto są owe papiery, które dostatecznie przeciwko niemu świadczą.

To rzekłszy, rzucił papiery na stół.

— Nie znam tych kontraktów — zapewniał Schulze, klnąc strasznie.

— A przecież wyciągnęliśmy je z twojej kieszeni, łotrze — wrzasnął Szkot.

— Może być — odparł Schulze zgnębiony — ale ja nie wiem, skąd się one tam dostały.

Wtem przepchała się przez tłum otyła niewiasta i zawołała:

— Ależ to jest bezczelność. Ten oszust kłamie jak najęty. Przed pół godziną proponował mnie i mojemu mężowi farmę „Szczęście i błogosławieństwo Boże" na sprzedaż, a teraz kłamie, że tej farmy nawet nie zna. Oto za mną stoi mój mąż — dodała, wskazując palcem na swego małżonka — on może potwierdzić prawdziwość mych słów.

— Jesteście więc świadkami przeciwko temu człowiekowi? — zapytał sheriff.

— Naturalnie, że jesteśmy świadkami — powtórzyła energicznie rezolutna kobieta. — Potwierdź, Janie — zwróciła się do swego towarzysza życia.

— To wszystko prawda, co żona moja mówi — zapewniał Jan.

— Czy znasz pan ten papier? — zapytał Wehlauer, pokazując oskarżonemu kontrakt kupna.

Schulze nie odpowiedział. Gdyby to była mała kartka, byłby ją pochwycił i połknął, z dużym arkuszem nie mógł tego uczynić.

— Przyznaj się pan — rzekł sędzia ostro — czy to pan podpisałeś ten kontrakt?

— Nie — odpowiedział Schulze stanowczym głosem.

— Moi bracia byli świadkami, że to on ten kontrakt podpisał — krzyknął Wehlauer.

— No to sprowadź tu pan swoich braci — rozkazał sędzia.

Nie mogę tego uczynić — rzekł na to zagadnięty — gdyż moi bracia są obecnie na farmie „Szczęście i błogosławieństwo Boże", nad brzegami Missisipi. Proszę jednak wysłuchać gospodarza Biedermanna, bo w jego oberży i w jego obecności podpisałem wtedy ten nieszczęśliwy kontrakt.

— Gdzie mieszka ten gospodarz? — zapytał sheriff.

Wehlauer zakłopotał się.

— Widzi pan, panie sędzio — rzekł wreszcie — to było takie przeklęte angielskie nazwisko, którego nie mogłem zapamiętać.

Ależ nie ma oberżysty takiego nazwiska! — upierał się Schulze bezczelnie.

— O tem możemy się rychło przekonać — zapewniał sheriff.

— Po co ciągnąć sprawę tylu niepotrzebnymi przygotowaniami? — zapytał Szkot — przecież wina oskarżonego jest dowiedziona! Tu są trzej świadkowie, którzy zeznają przeciwko niemu; tu są fałszywe jego kontrakty, są tu też pieniądze, którymi można odszkodować pokrzywdzonych! Po cóż więc jeszcze tyle niepotrzebnych formalności. Powieśmy łotra, a będzie to dobre dzieło!

— Tak jest, powieśmy go! — zawołano chórem.

Sheriff przewidywał pewno podobne zakończenie sprawy, bo miał obok siebie dwóch konstablów. Na dany znak wyprowadzili oni delikwenta przez boczne drzwiczki, które się za nimi zamknęły.

Zebrany tłum straciwszy z oczu swą ofiarę, zaczął wyć i wrzeszczeć. — Gniewne głosy, ozwały się, żądając, aby im wydano tego łotra.

— Chcemy mu wymierzyć sprawiedliwość! — krzyczał Irlandczyk. — Jesteśmy wolnymi Amerykaninami, i nie damy sobie odebrać naszego prawa.

— Tego nikt wam nie odbiera — zapewniał ich sheriff — i ja sam słowem honoru za nie wam ręczę. Nie wątpię o winie tego człowieka, bo wszystkie pozory są przeciwko niemu.

Chodzi jeszcze tylko o odszukanie owego oberżysty Biedermanna, co pójdzie z łatwością. Każę go natychmiast odszukać, a tymczasem oskarżony zostanie w więzieniu.

Niezadowolona tłuszcza zawsze jeszcze szemrała.

Widząc to sheriff, zaczął ich uspakajać, co mu się wreszcie udało.

Na wezwanie sheriffa, aby się rozeszli, rozproszyli się na wszystkie strony. Tylko Brinkmann i Wehlauer zostali i złożywszy zeznania swe przeciw oskarżonemu do protokółu czekali cierpliwie przybycia Biedermanna, z którym ich mieli skonfrontować.

Po więcej niż trzech godzinach wrócił posłaniec sheriffa i opowiadał:

Oberżysta Biedermann mieszka przy Hamiltonstreet nr. 128, ale nie było go w domu, a żona jego powiedziała, że wróci późno wieczorem. Wręczyłem więc pani Biermann wezwanie dla jej męża.

To jest nieprzyjemny przypadek — rzekł sheriff — panie Brinkmann i Wehlauer, musicie się więc panowie obaj zatrzymać aż do jutra. Jutro o 10 z rana bądźcie panowie znów u mnie; załatwię tę sprawę prędko i sprawiedliwie. Bądźcie tego pewni! Spodziewam się, że jutro już będę wam, panowie moi, mógł zwrócić sumę, na którą ten łotr was oszukał.

Zwłoka ta była obu przyjaciołom nie na rękę. Ale cóż mogli zrobić? Musieli ulec konieczności i zatrzymać się do jutra.

Gdy się nazajutrz rano stawili o oznaczonej godzinie, przyjął ich sheriff w widocznie złym humorze.

— Kazałem tego łotra zrewidować — ale nie znaleziono u niego żadnych pieniędzy ani też papierów wartościowych. Musiał je więc ukryć w bardzo chytry sposób.

— Skąd pan to wnosi ,panie sędzio? — zapytał Brinkmann miotany złym przeczuciem.

— Bo ptaszek nam uciekł! — dodał sheriff gniewnie.

Wehlauer zacisnął pięści i zaklął.

— Jakżeż on mógł uciec? — spytał Brinkmann, marszcząc brwi — przecież był zamknięty.

— Nie ma też jednego z dozorców — — dodał sheriff, widocznie więzień przekupił go i obaj razem uciekli.

Obaj przyjaciele okazali swe niezadowolenie bardzo jawnie, ale sheriff starał się ich uspokoić zapewnieniem, że dostaną w przeciągu kilku dni pieniądze, które dali Schulzemu za farmy. — Trzeba tylko załatwić jeszcze pewne formalności!

Ponieważ nie mamy zamiaru zajmować się dłużej panem Piotrem Schulzem, powiemy naszym miłym czytelnikom jeszcze to tylko, że w rok później powieszono w stanie Missouri jednego człowieka, którego przychwycono na kradzieży koni. Był to właśnie pan Piotr Schulze.

Wróćmy jednak do naszych biednych przyjaciół.

Jak Brinkmann tak i Wehlauer byli bardzo niezadowoleni z tego zakończenia sprawy. Stracili całe zaufanie do sheriffa po ucieczce winowajcy i nie mieli najmniejszej nadziei odzyskania swej straty. Mimo to postanowili jednak wytrwać na stanowisku i czynić dalsze kroki dla odzyskania swego mienia. Byli to winni żonom i dzieciom swoim.

Nadspodziewanie usiłowania ich zostały uwieńczone dobrym skutkiem, bo po 14 dniach, które spędzili w niepewności i niepokoju, otrzymali obaj Brinkmann i Wehlauer sumę, którą Schulzemu zapłacili za farmy.

— Panie sędzio — rzekł Brinkmann, podziękowawszy mu wpierw za pomyślne załatwienie sprawy — ten łotr wiele osób już oszukał i o śmierć przyprawił. Lecz nam chodzi głównie o naszych sąsiadów, Mayera i Trorenza; przecież i oni mają pretensje do odszkodowania?

— Pewno — odpowiedział na to sheriff — tym bardziej, że jeszcze jest dość znaczna suma z pieniędzy znalezionych przy Schulzu. Niechże się ci panowie stawią tu osobiście, albo niech przyślą swoich pomocników. Proszę to tym panom powiedzieć i poradzić im, aby poczynili kroki sądowe.

Na tym musiał Brinkmann poprzestać.

Zadowoleni wybrali się niezwłocznie w podróż powrotną, aby swoim ukochanym jak najprędzej donieść radosną nowinę.

Gdy wrócili i ze szczegółami opowiedzieli całą sprawę, pani Brinkmann i Wehlauer rozpłakały się z radości.

— Dzięki Bogu! — zawołała pani Brinkmann — teraz możemy się wyrosić z tej pustelni, a gdy jeszcze Mayer i Trorenz odzyskają swoje pieniądze, to przeklęty ten kąt ziemi zostanie zupełnie opuszczony. Przebrzydły przybytek moskitów i febry.

— Ja tu zostanę — zawiadomił nagle Mayer.

— Bójcie się Boga, sąsiedzie! — zawołał Brinkmann — przecież sami tu nie zostaniecie!

— Dlaczego nie — zapytał Mayer spokojnie.

— Ależ, pomyślcie tylko o tym, że gdy Trorenz opuści tę okolicę, zostaniecie tu zupełnie sami, a gdy was febra chwyci, to bez pomocy zginiecie.

— Nic mi się nie stanie — odpowiedział Mayer ze smutnym uśmiechem, który wszystkich zabolał — jestem zanadto szczęśliwy z tego i zostaję tu stanowczo.

— Czeka on tu na niewierną swą żonę — szepnęła pani Brinkmann swemu mężowi — ten biedak jest naprawdę pożałowania godny!

ROZDZIAŁ CXIX

Uśpiony w śniegu

Teobald Hai udał się do markiza z gotowym już diabelskim planem.

Nie chodziło mu na razie zupełnie o wynalezienie zbiegłej Idy. Na to zawsze czas jeszcze będzie — myślał. Z tym mu się zupełnie nie spieszyło.

Zamiarem jego było zwabić markiza w jakąś odludną okolicę i zamordować go tam.

Przybywszy do mieszkania markiza, znalazł go zupełnie gotowego do drogi.

— Jeżeli pan pozwoli — rzekł z obłudnie słodką miną — to możemy natychmiast wyruszyć, bo szkoda czasu! W powozie wtajemniczę pana w moje plany, gdyż zdaje mi się, że już wiem, gdzie jest moja Ida.

Niebawem wyszli i wsiedli do powozu ku wielkiemu niezadowoleniu pani Spiller, która nie mogła się dowiedzieć od służącej dokąd oni pojechali.

Dora zaniosła markizowi kufer na doróżkę, ale tak była zajęta swoim bliskim wyjazdem do domu, że nie wiedziała, co się z nią dzieje.

— Głupia gęś! — mruknęła pani Spiller, bardzo zirytowana.

— Czy pani co mówi do mnie? — zapytała ją impertynencko służąca.

Stara nic nie odpowiedziała, tylko poszła do córki, która przeglądała żurnale, przegryzając migdałami.

— Patrz Cylo — rzekła do niej oburzona — jaka ta Selma fałszywa! Ona mi tu tak wygaduje zawsze na markiza, a Teobaldowi pozwali wybierać się z nim w podróż.

— Teobald już się nie popsuje — szydziła Cyla.

— Naturalnie — potwierdziła matka — a zawsze to dowodzi jej fałszywości. Bo tobie pisze, że Teobald cię chce malować, a on tym czasem wyjeżdża gdzieś z markizem.

— Ach, ja przecież odrazu wiedziałam, że to kłamstwo — odpowiedziała Cyla — ale chciałabym wiedzieć, dokąd oni pojechali i czy nam markiz coś przywiezie.

— Nie bój się — zaprzeczyła pani Spiller — jemu zupełnie co innego w głowie.

— — — — — — —

— — — — — — —

Tymczasem Teobald kłamał markizowi najrozmaiciej i zmyślał w najlepsze.

— Jak pan sądzisz, gdzie jest panna Ida? — pytał Francuz ciekawie.

— U mojej starej niańki — kłamał Teobald.

Nigdy nie miał niańki, bo kiedy się urodził, u rodziców jego była jeszcze wielka bieda.

Pani Hai sama lokatorom w nocy czyściła buty i ubrania, gdyż nie miała służącej, a Teobald wiedział to bardzo dobrze, bo stara wspominała o tym od czasu do czasu w kółku rodzinnym.

Lecz on kłamał z planem.

— Trzeba było panu widzieć, panie markizie, co to za wierne było stworzenie, jak poczciwe a przy tym wiernie służyło nam przez 20 lat.

— To w takim razie musiała dopiero niedawno od państwa odejść — zapytał markiz.

— Tak jest, półtora roku temu — kłamał bezczelnie Teobald. Ida pisywała do niej i nawet bardzo często posyłała jej podarki. — Przypuszczam więc, że do niej teraz pojechała.

Markiz, który nie znał stosunków domowych Haiów, nie wiedział, że tam żadna obca osoba nie wytrzymałaby dwadzieścia lat, że Ida nie mogła nikomu wysyłać podarków, bo sama nic nie posiadała. Nie połapał się, że to kłamstwo i wszystko wydawało mu się dość prawdopodobnym.

A ponieważ sama Ida była zbyt delikatna, aby przed nim mogła była uskarżać się na Haiową, więc z łatwością uwierzył markiz we wszystko i cieszył się w nadziei, że niebawem ją ujrzy.

— Niech wybiorą — pomyślał sobie — między nami dwoma.

Serce mówiło mu, że wybierze jego.

Na dworcu kupił Teobald bilety i w drodze był dla niego nadzwyczaj uprzejmy. Sporządził mu nawet bardzo wygodne łoże z koców, ażeby się położył i rzekł:

— Pan jesteś rekonwalescentem, musi pan więc uważać na siebie, bo mamy jeszcze dość brudów przed sobą.

W duszy zaś pomyślał sobie:

— Cztery lata temu, jak tam byłem. Ciekawym też, czy nie zapomniałem drogi. To byłby przeklęty pech, gdybym sam zbłądził i zamarzł, w drodze wpadłbym tym sposobem we własne sidła.

Ale że był lekkomyślny, nie martwił się tym długo i znowu zwrócił się do towarzysza, którego wiózł na zgubę.

Ten, chcąc się uwolnić od jego natrętnej uprzejmości, zamknął oczy i udawał, że śpi.

Po północy przybyli do jakiegoś małego miasteczka i zajechali do hotelu.

Dano im dwa obok siebie leżące pokoje, w których jednak straszliwie było zimno.

Kiedy zaspana służąca zapaliła w piecu, rozeszły się po pokoju kłęby czarnego, gryzącego dymu.

Teobald klnąc, otworzył okno i poradził markizowi, żeby się dobrze owinął kocem. Równocześnie zażądał innych pokoi, ale okazało się, że wszystkie są zajęte, bo nazajutrz ma być targ.

Służąca mówiła, że przestanie się dymić, jak wiatr ustanie.

Tymczasem wiatr nie ustawał, a dymu było coraz więcej.

Markiz zaproponował, żeby może udać się gdzieindziej, ale przebiegły Teobald powiedział mu, że będzie to jeszcze gorzej i zaczął flirtować z młodą służącą hotelową, której jednak markiz widocznie lepiej się podobał.

On jest chory — opowiadał jej Teobald — i dla niego jest zabójstwem przebywać w takim zimnym i zadymionym pokoju.

— Na dole w szynkowni byłoby lepiej — odpowiedziała dziewczyna — zapalę tam panom i urządzę jak najwygodniej.

Sprowadziła ich na dół, zapaliła lampę, podpaliła w piecu, a na zarządzenie Teobalda przyniosła gorącego ponczu.

— Niech się pan napije i rozgrzeje — prosił Teobald — a my tym czasem pościelimy panu na kanapie.

— A pan? — zapytał markiz.

— O, moja osoba wcale nie wchodzi w rachubę — odpowiedział Teobald spokojnie. — Ja jestem młody i zdrów i z łatwością mogę jedną noc przepędzić w krześle.

Z tą pokorą udaną i skromnością wyglądał tak wstrętnie, że markiz musiał dobrze ukrywać niemiłe wrażenie, jakie to na nim robiło. Czuł się niezdrów, a myśl, że ten wstrętny człowiek, mógłby naprawdę zostać mężem Idy, napełniała go rozpaczą.

Wpatrywał się w ogień i tak się zamyślił, że się przestraszył, gdy Teobald położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Niech pan pije, panie markizie.

Markiz mechanicznie wychylił szklankę gorącego ponczu.

— Teraz niech się pan kładzie — rzekł Teobald — bo jutro czeka nas daleka droga piesza.

— Czy nie możemy jechać? — zapytał markiz de Lorme.

— Nie, bo stara Marta mieszka głęboko w górach, ale jeżeli Ida zrobiła tę drogę pieszo, to i my się jej nie zlękniemy.

— Całkiem naturalnie — odpowiedział z mocą de Lorme.

Byłby szedł milami przez śnieżne, mroźne pola, albo płynął przez strumienie gorącej lawy, żeby tylko zobaczyć Idę na chwilę.

Zanadto był wzruszony, aby choć na chwilę zasnąć.

Czuł się bliskim swoich najsilniejszych poszukiwań.

Jeżeli teraz Ida odwzajemni się miłością, to będzie człowiek najszczęśliwszym w świecie, a zarazem winę, którą ojciec jego miał na sumieniu wobec Desirée Saint-Cir, zmaże najlepiej tym, że uszczęśliwi jej córkę.

Nie spał więc ani przez chwilę, a gdy tylko Teobald się poruszył, patrzył na niego jasnym, przytomnym wzrokiem.

Hai był wściekły.

— Gdybym był wiedział — pomyślał sobie — że tak będzie, nie byłbym mu odstępował wcale kanapy.

Rozzłościł się jeszcze bardziej, gdy około godziny piątej zrana, najrozmaitsi ludzie zaczęli przychodzić do szynkowni i zjadać tam śniadanie z wielkim wrzaskiem i hałasem.

Markiz wstał i zaproponował, żeby wobec tego wybrać się w drogę.

Hai zamówił śniadanie, ale kawa była taka obrzydliwa, że markiz nie mógł przełknąć więcej, niż kilka łyżek.

Teobald narzekał także, ale wypił wszystko i zjadł kilka kawałków chleba z masłem.

— Nie powinien pan naczczo wybierać się w drogę — rzekł do markiza — bo zimno będzie panu bardziej jeszcze dokuczać. Niech się pan przynajmniej napije jeszcze kieliszeczek koniaku. Weźmę także koniak na drogę.

Kazał sobie też rzeczywiście podać przy bufecie dwie małe flaszki.

— Dlaczego pan nie bierze jednej dużej flaszki tylko dwie małe? — zapytał markiz de Lorme bardzo zdziwiony.

— Wygodniej transportować — tłumaczył mu Teobald.

Następnie kazał sobie dać pokój, w którym chciał się przebrać.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Nauczycielka

Daisy spotkała nas i uśmiechnęła się do nas. Sir Jerzy mówił, ale ja nie słyszałam już tego, co mówił; tylko często hop! hop! jakie rzucał parom biegnącym przed nami, aby się usuwały, uprzedzały mnie o prędkości naszego biegu.

Nie mogłam już dłużej; w uszach czułam okropne brzęczenie: wszystko dokoła mnie kręciło się w fantastycznym tańcu: konałam!

— Dosyć, przez litość! szepnęłam.

Usłyszałam, jak bardzo niskim, zmienionym głosem rzucił mi ciche nie i zlodowaciałam z przerażenia.

Nie zrozumiałam już nic i upadłam w jego ramiona!

Później, gdy otworzyłam oczy, powiedziano mi, że byłam zemdlona: ułożono mnie delikatnie na krześle i przeniesiono na polanę leśną, między zarośla olszynowe.

Doznałam ogromnego przerażenia, spostrzegłszy, że zerwano ze mnie staniczek...

— Przepraszam, miss Jane, to ja to zrobiłam; rzekła tuż obok mnie niańka Katty. Natychmiast przyszłam do siebie.

— A Daisy? A Lorenzo? — zawołałam, podnosząc się.

Daisy była niedaleko mnie, a jej ładna twarzyczka była niesłychanie zmieniona z przerażenia.

— O mamusiu, mamusiu — krzyknęła, zarzucając mi ręce na szyję.

Lorenzo ze swego fotela patrzył na mnie ponuro, bez cienia współczucia na pobladłej, jakby stężałej twarzy.

Sir Jerzy zniknął.

— Lorenzo — rzekłam cicho, biorąc go za rękę.

— Miss Jane? — odpowiedział wyniośle cofając ją.

Boże jak mnie boli ten wyrzut!... Jakto? on mnie wini za to, że go posłuchałam, za to, że — aby go zadowolić, — naraziłam się na podobną scenę?

— Ty sam tego chciałeś — rzekłam, z kolei ja dotknięta, oddalając się.

— O Giannino! załkał cichuteńko.

Odwróciłam się: płakał jak dziecko, nie mogąc podnieść swych biednych, chorych rąk, by otrzeć łzy, spływające mu po bladych, wychudłych policzkach. Cała moja uraza zniknęła w jednej chwili: zbliżyłam się do fotela i biorąc w dłonie jego głowę, oparłam ją na swej piersi.

— Lorenzo, Lorenzo, dlaczego jesteś niesprawiedliwy?

— Gdybyś wiedziała, ile wycierpiałem, widząc cię w ramionach tego człowieka!

Zadrżałam z przerażenia, na myśl o tym strasznym widowisku na oczach wszystkich ludzi. Wyobraziłam sobie momentalnie skandal i plotki, jakie musiało ono wywołać; nade wszystko komentarze pań Maddeln i złośliwe insynuacje, jakich nie omieszkały snuć zapewne.

Czułam głuchy gniew do sir Lionela, który naumyślnie doprowadził mnie do omdlenia, by wywołać tę niesmaczną scenę. I postanowiłam zemścić się.

Powrót był smutny i milczący: nikt się nie odzywał, nawet mała Daisy zwykle tak gadatliwa.

W zamku wiedziano już o wszystkim. Sam sir Jerzy nie omieszkał opowiedzieć o wydarzeniu, oskarżając się o niegrzeczności, która spowodowała tak bolesny wypadek.

Naturalnie przy obiedzie o niczym innym się nie mówiło, a ponieważ sir Herbert i lord Dudley wyrazili mi swoje ubolewanie, chciałam im dowieść, że to nie była moja wina i zwracając się do sir Jerzego, powiedziałam mu bardzo zimno:

— Gdybyś się pan był zatrzymał wtedy, gdy pana o to prosiłam, nie byłoby doszło do tego niesmacznego incydentu.

Zdawał się być obrażony i na pewno był niemile dotknięty moją uwagą i spróbował się bronić:

— Doprawdy prosiła mnie pani, bym się zatrzymał, miss Jane? widocznie zatem nie zrozumiałem pani.

— To nieprawda — powtórzyłam oburzona taką bezczelnością — zrozumiał mnie pan doskonale, gdyż powiedział mi pan nawet „nie" i przyspieszył jeszcze kroku. —

Moje oświadczenie miało zadziwiający efekt: sir Jerzy zaczerwinił się aż po czuprynę i rzucił mi spojrzenie pełne nienawiści.

Sir Herbert i lord Dudley, widocznie zdziwieni zachowaniem się sir Jerzego, milczeli zakłopotani; Daisy otworzyła szeroko swoje ogromne błękitne oczka, a Lorenzo, pozbywszy się nareszcie swych wstrętnych podejrzeń, patrzył na mnie z niemą prośbą i nieskończoną wdzięcznością!...

Wycofałam się zaraz po obiedzie, ale nie zeszłam do salonu.

Lecz mój Boże! Czy wystarczy ta nauka? Czy też będę musiała jeszcze znosić natrętność tego zarozumiałego baroneta?

O moja biedna mamo, broń mnie ty i wspieraj!...

—o—

Sir Jerzy Lionel do Edwarda Barth.

Lynn-Castle 12 grudzień.

Najdroższy przyjacielu!

Wielka to prawda, że kto bawi się ogniem, ten się w końcu musi nim sparzyć; tym razem boję się, że zakochałem się na serio! Ta mała miss Jane tak mi weszła w myśl, a może i w serce, że ani na chwilę nie mogę jej zapomnieć. Zastanawiam się ciągle nad tym, czy to szaleństwo, które mnie ogarnęło, jest tylko wynikiem niezaspokojonej jeszcze miłości własnej, czy może jest tym, co nazywają miłością: nic już się nie orientuję w tym zamęcie fizjo-psychologicznym, jaki zapanował we mnie! To jedno jest pewne, że nigdy dotychczas nie doznałem niczego podobnego i że cierpię! To słowo wyda ci się dziwnym pod piórem takiego birbanta, jak ja! Mnie się jeszcze dziwniejszym wydaje, że ja mam cierpieć i to przez kobietę; ja, który kochałem ich tyle, że nie umiałbym ich nawet spisać! Otóż, widzisz: czuję, że gdybym mógł raz choćby nagiąć ją do swej woli i widzieć, jak błaga o łaskę, to wszystka moja krew podniecona i rozpalona uspokoiłaby się, jakby pod wpływem czarów i nie cierpiałbym więcej! Podczas gdy widok jej tak zawsze pogodnej i niewzruszonej, zawsze jednakowo dumnej i wyniosłej, że wydaje się, iż zaledwie raczy spostrzegać, że my wszyscy dokoła niej istniejemy, przyprawia mnie o wściekłość, tąka wściekłość, że chciałbym ją zgnieść, jak zabawkę, aby dowieść, że ja także czymś jestem!...

Edwardzie, czy umiesz mi powiedzieć, co to wszystko znaczy?

Ja nie mogę prowadzić dłużej podobnego życia, rozumiesz?!

Muszę koniecznie pomówić z nią, prosić ją, błagać, grozić, jeżeli będzie potrzeba; ale nie zniosę dłużej, żeby patrzyła na mnie tymi zimnymi oczyma, nie zniosę dłużej, żeby krzywiła tak pogardliwie usteczka, gdy mówię do niej.

A już wierzyłem, że tyle zdziałałem! Wyobraź sobie Edwardzie, że miałem ją w swych ramionach! Może to, co ośmieliłem się zrobić, było mało dżentelmeńskie, ale powtarzam ci, nie wiem już sam co robię. Słuchaj i osądź!

Kiedyś, niezwykłym naleganiem i z pomocą Daisy, którą znasz, a która jest moją małą, nieświadomą sojuszniczką, zdołałem ją nakłonić, by poszła nad staw. Ślizgano się tam i miałem nadzieję, towarzysząc jej tam, że będę miał sposobność między jednym a drugim biegiem, wypowiedzieć jej wszystko, co mi leży na sercu.

Zważ, że dzień przedtem, zrobiłem konno 40 kilometrów, by kupić jej w mieście parę łyżew: nie miałem miary, gdyż chciałem zrobić jej niespodziankę, która powinna była być wystarczająco wymowną! Wybrałem najmniejszy numer damski i gdy wreszcie, po usilnych prośbach, namówiłem ją, by pozwoliła je sobie założyć i spróbowała kilka obrotów ze mną, okazało się, ze były jeszcze za duże. Ach, co za nóżka, co za nożka, Edwardzie!

Wyobraź sobie, co czułem, gdy oboje puściliśmy się w bieg! Obejmowałem jej kibić i trzymałem w swej dłoni jej delikatną i zimną rączkę. Miałem ją całą tak blisko siebie, trochę niepewną, trochę onieśmieloną, bardzo niespokojną i strwożoną i odczuwałem taką rozkosz, tak głęboką i czystą radość (tak właśnie, że czystą) osłaniając ją, czując ją słabszą od siebie, tak kobiecą i wytworną, ze nic nie da się porównać ze słodyczą tej chwili!

Zaledwie spostrzegałem pary dokoła nas, nie czułem i nie rozumiałem niczego poza nią! I tak wielka była ta radość, to wewnętrzne szczęście, które wypełniało mnie całego, że wydawało mi się niemożliwością, aby ono nie miało się udzielić także jej, by mogła nie odczuć tej samej, co ja, rozkoszy! Musiało jednak tak nie być, gdyż nagle szepnęła do mnie błagalnie: Dosyć, przez litość! Tak byłem rozczarowany tym okrzykiem, rzuconym prawie z przestrachem, że zapominając o swym obowiązku dżentelmena, wrzasnąłem: Nie! zmuszając ją do biegu prawdziwie zawrotnego.

Ach, jakże chciałbym biec tak zawsze, aż w nieskończoność! Moja biedna towarzyszka musiała jednak być naprawdę mocno zmęczona, może też przestraszyła się mojego szalonego i okrutnego: Nie! Uczułem naraz, że upada i zaledwie miałem czas powstrzymać ją!...

Zemdlała, Edwardzie; ale gdybyś wiedział z jakim wzruszeniem wpatrywałem się w nią, spoczywającą w mych ramionach, śmiertelnie białą, z bladymi ustami i zamkniętymi oczyma, jak gdyby naprawdę gwałtowne wzruszenie zabiło ją na mym sercu...

Nie zauważyłem nawet ludzi, którzy tłoczyli się dokoła, szepcąc i ofiarując pomoc.

Oprzytomniałem dopiero, słysząc okropny krzyk, dochodzący z ławki, na której siedzieliśmy przed chwilą. Był to Lorenzo, biedak zapewne najnieszczęśliwszy z nas wszystkich, gdyż jego miłość jest najbardziej beznadziejna.

Pozostawiłem moją ukochaną opiece kilku pań, które się zbliżyły i jak szalony wróciłem do zamku. Przy obiedzie miss Jane zjawiła się w sali, jak zwykle, albo jeszcze piękniejsza, przez ten lekki wyraz cierpienia, jakie zdradzała jej cała postać zmęczona i przygnębiona... Ale nie przebaczyła mi ona mego szaleństwa i karze mnie za nie chłodem i obojętnością jeszcze bardziej lodowatą i rozdzierającą mi serce.

O Edwardzie, nie wiem co robię, ale wiem, że nie mogę tak dłużej żyć! Co ta słabą, zamyślona i wiecznie smutna istota zrobiła ze mnie?

Na próżno usiłuję zdać sobie sprawę, zapytując się samego siebie, co ona w końcu ma tak szczególnego, że mię tak oczarowała i nie wiem, na czym polega jej urok, — wiem tylko, że weszła mi w krew i w życie, że stała się duszą mej duszy. O Giannino! Giannino!

Żegnaj, Edwardzie! może usłyszysz niedługo, że popełniłem szaleństwo. Przysięgam ci, że tę kobietę muszę mieć: choćbym miał zrobić z niej swą żonę.

Żegnaj

Twój Jerzy.

Edward Barth do sir Jerzego Lionel.

Malbourgh-Castle, 19 grudzień.

Rzecz zaczyna być dość poważną; przyjedź do mnie, mała podróż bardzo dobrze ci zrobi. Czekam cię na Boże Narodzenie, przepędzimy je razem. Nie zapominaj, że Szkocji nie brak jeszcze ładnych dziewcząt, czystych i niewinnych i że nawet w Malbourgh-Castle pewna jasnowłosa Ofelia oczekuje cię, myśląc o tobie ciągle podczas mroków zimowych!

I gdybyś wiedział, jak daleko, daleko spogląda, aż ku Lynn-Castle! Przyjedź! Wszyscy tutai przyjmą cię dobrym słowem, na które tak czekasz!

Edward.

24 grudzień.

Sir Jerzy Lionel wyjechał i wszyscy odżyliśmy! Właśnie uważam z wielkim rozradowaniem, że moje zadowolenie odbija się na wszystkich twarzach, we wszystkich spojrzeniach. Na skutek milczącego porozumienia, nikt nie nalegał, by został, gdy dwie godziny temu oznajmił swój wyjazd. Bałam się, by to nie był znów jaki nowy podstęp i miałam się na baczności; gdy jednak ujrzałam go stojącego w ubraniu podróżnym przed powozem, który go miał zawieźć do miasta, stałam się tak wylewna, jak nie byłam nigdy dotąd i ofiarowałam mu najpiękniejszy uśmiech i wiele pozdrowień!

Między nimi jednak nie było do widzenia!. Owszem, krzyknęłam nawet bardzo głośno: Żegnam pana! gdy powóz już był daleko, a on odwracając się powiewał chusteczką.

Ale czekała mnie najwyższa niespodzianka: w moim gabinecie, w książce, leżącej na stoliku na widocznym miejscu, znalazłam list! Istotnie, on śmiał napisać do mnie! Oburzenie moje było tak wielkie, że ręce mi drżały, gdy rozrywałam kopertę i nie miałam odwagi przeczytać.

Dziwny bilecik!

„Uwielbiam Panią i szanuję Jej wyniosłą obojętność pod moim adresem. Wyjeżdżam gdyż Pani zachowanie i spojrzenia nakazują mi to, ale wyjeżdżam przekonany, że zostałem zrozumiany przez Panią. Teraz Pani już wie, że moje serce i moje życie należą do niej na zawsze.“

Dobrze przynajmniej, że wyjechał! Mój Boże, dzięki ci. Tak tu jest dobrze teraz! Wszystko wróciło do poprzedniego spokoju i ciszy. Lord Dudley, który zatrzyma się tutaj całą zimę, by dotrzymać towarzystwa sir Herbertowi, nie jest wcale natrętny. Łagodny i pełen szacunku, robi wrażenie dobrego ojca, w jego oczach czyta się życzliwość i gotowość do opieki. — On i sir Herbert przepędzają cały dzień razem i zostawiają mi całkowitą swobodę dysponowania moim czasem, jak mi się podoba.

Lorenzo znów jest pogodny i wesoły; czy, tam szczęście w jego rozradowanych spojrzeniach. Daisy również jest cała dla mnie, gdyż

zdaje się, że nawet miss Lawinia zmieniła zdanie co do mnie, od czasu sławnego i dobitnego oświadczenia mojego przy stole w owym fatalnym dniu po ślizgawce. I tak wrócił spokój i radość do Lynn-Castle, za co dziękuję Bogu z całego serca!

Jutro jest Boże Narodzenie; Daisy jest ogromnie niespokojna w tych ostatnich dniach oczekiwania. Boże Narodzenie obchodzi się bardzo uroczyście w rodzinach angielskich, a szczególnie dzieci marzą o nim, pragną go i oczekują dziesięć miesięcy naprzód.

Sir Herbert zamówił skrzynię, pełną zabawek, słodyczy i świecidełek na drzewko. W pośrodku wielkiego salonu wznosi się triumfalnie najogromniejsza sosna, jaką kiedykolwiek widziałam. Miss Lawinia i ja będziemy ją ubierać dziś wieczór.

O kochane Boże Narodzenie, słodkie i rodzinne święto, jakimże smutkiem napełniasz moje serce!...

Ja także jestem jeszcze trochę dzieckiem: czuję ogromną potrzebę czułości macierzyńskiej: ja także chciałabym zostać rano zbudzoną gorącym pocałunkiem matki, który przyniósłby mi spokój i radość, obiecaną przez Chrystusa w tym uroczystym dniu!...

O Panie, który jesteś przecież Ojcem sierot i wydziedziczonych z uczucia, ześlij mi promień Twej miłości, by mnie ogrzała i ożywiła me serce! O Panie, miej litość nade mną i spraw, bym Cię czuła blisko, blisko mojego biednego serca, tak samotnego i smutnego!...

2 styczeń 1897.

Bardzo smutno zaczyna się ten nowy rok; biedna miss Lawinia zachorowała ciężko. Z początku wydawało się to głupstwem: zaziębiła się trochę w nocy wigilijnej, gdyż chciała koniecznie być na pasterce, ale nagle przyszła gorączka i sprawa pogorszyła się znacznie.

Doktór potrząsa głową, a jego diagnoza nie jest wcale uspokajająca. Sir Herbert jest bardzo zbolały; od dziecka przyzwyczajony, że ta starsza siostra, zastępująca mu matkę, kierowała nim, nie może pogodzić się teraz z tym, że mógłby zostać bez niej.

Jaki smutny jest dom, w którym są chorzy! Dzieci wygnane zostały do nursery, gdzie Marga ma w opiece również Daisy. Lorenzo nie opuszcza wcale salonu; tam przepędza smutne godziny czytając. Peter podtrzymuje mu książkę i na dany przez niego znak obraca kartki.

Od czasu do czasu wychodzę z pokoju chorej i przychodzę do niego na chwilę. Wówczas uśmiecha się słabym, przesmutnym uśmiechem i dziękuje mi.

4 styczeń.

Nasza biedna chora ma bardzo silną gorączkę: dziś wieczór lekarz wymówił straszne słowo: tyfus! Obawiając się, chciał, ażebym przez ostrożność opuściła jej pokój, ale nie zgodzę się na to nigdy. Jakżebym mogła opuścić siostrę mego dobroczyńcy w podobnej chwili?.

6 styczeń.

Nie ma już wątpliwości; tyfus rozwinął się w okropny sposób i biedna miss Lawinia cierpi nadzwyczajnie. Nie wychodzę z jej pokoju od dwóch dni. Kazałam sobie tu przynieść kilka książek, aby przy ich pomocy walczyć ze snem. Trzeba czuwać nieustannie przy tej biednej staruszce, tak bardzo chorej! Niemożliwość, aby w tym wieku oparła się ona strasznej sile tej choroby!

Biedaczka! Czuję coś jakby wyrzut, że nie zużyłam całej delikatności i przywiązania, jakie mogłabym była jej okazać! Była bardzo dobra, a przede wszystkim sprawiedliwa, może nawet bardziej sprawiedliwa niż dobra!

Oto znowu biedna egzystencja bez uczucia, która gaśnie cicho i spokojnie, nie doświadczywszy w życiu nigdy niczego, prócz zadowolenia ze spełnionego obowiązku!... Biedna kobieta! Biedna męczennica!

7 styczeń.

Jest północ, a ja czuwam przy tym łożu boleści. Pielęgniarka niewyspana i zmęczona zasnęła. Ja nie mogę wypocząć: słyszę daleko na wsi wycie psa, który się skarży i płacze i przychodzą mi na myśl zabobonne i straszne historie z mego dzieciństwa! Jaką dostojność śmierci ma już na swej pogodnej twarzy biedna miss Lawinia!... Rzadkie siwe włosy, przylepione do skroni, są mokre od potu; zapadnięte oczy zamykają się wskutek silnej gorączki, a z biednej wychudłej piersi wydobywa się rzężenie konającej! Boże, cóż za zabobonny strach!

10 styczeń.

Skończyła! Biedna miss Lawinia umarła! Zgasła dziś rano, wezwawszy księdza w chwili szczęśliwej świadomości. Ja jej zamknęłam oczy, podczas gdy cicho i spokojnie umierała z krucyfiksem w dłoniach!... O Chryste! Ty jesteś jednak zawsze najwyższą pociechą i największym spokojem!...

Jestem zmęczona, osłabiona i obezwładniona. Mam ciężką głowę i czuję gorączkę w kościach. Kto wie, czy będę mogła odpocząć trochę tej nocy! Czy nie będę miała ciągle przed oczyma tej konającej twarzy, tak wymownej i wzniosłej w prostym majestacie śmierci?

Och, jakaż jestem zmęczona!...

28 luty.

Już więcej jak miesiąc nie pisałam! I jeszcze dziękuję Bogu, że pozwolił mi podjąć pisanie tych kartek po strasznej chorobie, z której wyszłam niemal cudem!...

Nie mogę jeszcze pisać długo: jestem bardzo osłabiona i pióro cięży mi w palcach. Biedna miss Lawinia! Ona nie mogła zwyciężyć! Ona spoczywa teraz w grobie St. Johnów pod wysokimi cyprysami małego cmentarza!...

Margrabina di Roussel do Giovanniny de Breda.

Florencja 22 marzec.

Najdroższa moja dziewczynko!

Przede wszystkim winszuję ci, że pokonałaś chorobę, która cię dotknęła. Wierz mi, że byłam bardzo niespokojna o ciebie, że modliłam się i kazałam się modlić bardzo o twoje wyzdrowienie. Sir Herbert informował mnie codziennie o twoim stanie i gdybyś mogła czytać rozpaczliwe listy, jakie pisał do mnie, wiedziałabyś, że powinnaś nieskończenie dziękować Bogu, że postawił na twej drodze takiego opiekuna. Nigdy nie będziesz mogła spłacić długu wdzięczności, jaki zaciągnęłaś u swego dobroczyńcy.

Zapewne biedna miss Lawinia musiała również modlić się w niebie i prosić, by Bóg zachował to życie, które tak szlachetnie narażałaś, czuwając przy niej. Ale teraz, gdy wyzdrowiałaś, sądzę, że mogę pomówić z tobą z całą swobodą o tym, co uważam za twój i swój obowiązek.

Gdy, siedem miesięcy temu, sir Herbert, chcąc przyjąć nauczycielkę, zwrócił się do mnie, uważałam, że mogę tobie powierzyć to delikatne zadanie, z którego Bogu dzięki, wywiązywałaś się zawsze bez zarzutu.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 15 sierpnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie — Transmisja do Belgii 12.03 Z życia ludu wiejskiego — poranek muzyczny pod dyr. F. Dzierżanowskiego 13.50 „Kombinator" — skecz 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Manewry piosenki żołnierskiej 16.30 Gra Ignacy Friedman (płyty) 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie — Transmisja z Doliny Szwajcarskiej 19.00 „Czepiny" — słuchowisko regionalne (wznowienie) 20.00 Utwory Edwarda Lalo (płyty) 21.00 „Kaczka" — lekka audycja 22.00 Recital śpiewaczy Wiktora Bregy 22.25 Muzyka (płyty).

Poniedziałek, dnia 16 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.15 Dziecko idzie do szkoły — pogadanka 12.25 Fragmenty zespołowe z op. „Halka" (płyty) 12.40 Od warsztatu do warsztatu: „Zawód zduna" 16.00 Przygoda pana od przyrody — pogadanka dla dzieci 16.15 Lekkie piosenki i melodie 16.45 „O pewnym szlachcicu, który umiłował kuchnię" — felieton 17.00 Koncert na klarnecie Józefa Madei 17.25 Recital śpiewaczy Marii Bieńkowskiej 18.15 W rytmie tańców polskich (płyty) 18.40 Dym z trzech części świata — pogadanka 19.00 Koncert rozrywkowy z parku „Helenów" w Łodzi 20.00 Wieniec melodii Pawła Lincke'ego 21.45 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — wybrany fragment (wznowienie) 22.00 Koncert solistów.

Wtorek, dnia 17 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 16.00 „Zagadka geograficzna" — audycja dla dzieci 16.20 Ludwik van Beethoven: Kwartet smyczkowy G-Dur 16.45 Czapli raj pod Sierakowem — felieton 17.00 Koncert Orkiestry Filharmonii Warszawskiej pod dyr. J. Ozimińskiego (z Ciechocinka) 18.15 Piosenkarze Letniego Konkursu P.R. w repertuarze lekkim 19.00 „Radio pana Hipolita" — skecz 19.15 Silvio Ranieri gra na gitarze 20.00 „Clivia" — operetka 22.05 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 22.20 Recital skrzypcowy Józefa Kamińskiego.

Środa, dnia 18 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert orkiestry Furmańskiego i Dakowskiego 16.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki 16.15 Pieśni bez słów F. Mendelssohna (z Łodzi) 16.45 „Jan Karol Chodkiewicz" — odczyt 17.00 Lekkie piosenki i melodie w wyk. Sióstr Burskich 17.50 „Ja budujemy statek" — pogadanka 18.15 Lekka muzyka francuska (płyty) 19.00 Słynni dyrygenci — 18 audycja (płyty) 20.00 Kwartet wokalny „Dziarskie chłopy" i zespół harmonistów 21.00 Koncert chopinowski w wyk Witolda Małcużyńskiego 21.45 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry.

Czwartek, dnia 19 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert rozrywkowy w wyk. Łódzkiej Orkiestry Salonowej 16.00 Na siodełku motocykla — pogadanka dla dzieci 16.15 Symfonie Beethovena — 6 audycja (płyty) 17.10 Koncert Polskiej Kapeli Ludowej F. Dzierżanowskiego 18.15 Orkiestra Pawła Whitemana i revellersi (płyty) 19.00 „Podróżnik i miłość" — komedia 20.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Ork. T. Seredyńskiego 21.45 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 22.00 Recital fortepianowy Colette Gaveau 22.30 Pieśni Stanisława Niewiadomskiego.

Piątek, dnia 20 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Orkiestra Marynarki Wojennej pod dyr. A. Dulina 16.15 Pieśni węgierskie wykona Margit Szirmay-Seemen 17.00 Koncert w wyk. Orkiestry Filharmonii Warszawskiej — Transmisja z Ciechocinka 18.15 Pogadanka konkursowa 18.20 Lekkie wiązanki (płyty) 19.00 Recital śpiewaczy Eedo Karrisoo 19.30 Sibelius (płyty) 20.00 „Wczoraj i dziś" — koncert rozrywkowy 21.45 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 22.00 Koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej P.R.

Sobota, dnia 21 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert rozrywkowy w wyk. Orkiestry Klubu Mandolinistów „Sempre Vivo" 16.00 Teatr Wyobraźni dla dzieci 16.30 „Od poranka do wieczora" — koncert ork. A. Hermana 17.30 Koncert solistów 18.15 Melodie tyrolskie (płyty) 19.00 Muzyka lekka w wyk. Wojskowej Orkiestry Reprezentacyjnej pod dyr. kpt. M. Chmielewicza 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.05 „Tydzień gór" — góralskie zespoły orkiestrowe i śpiewacze 22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P.R.

HUMOR

ANDRE GIDE W MOSKWIE

Drobny epizod, którego nie opisał w swej książce André Gide.

Rzecz dzieje się na Kremlu. Gości oprowadzają po gmachu zabytkowym i wreszcie wiodą go na wieżę, skąd roztacza się widok na stolicę ZSRR.

Adré Gide zauważył jakiegoś obywatela o twarzy znudzonej, stojącego obok futerału.

— Co tu robicie, towarzyszu? — pyta Gide.

— Pilnuję sztandaru. W tym futerale jest sztandar czerwony, który wywieszę na wieży w chwili wybuchu rewolucji wszechświatowej.

— A dobrze wam za to płacą?

— Średnio, można wyżyć, ale za to posada murowana.

WYJĄTEK

— Czy wiesz, która gwiazda z Hollywood nigdy jeszcze się nie rozwodziła?

— Nie ma takiej.

— Owszem, jest. Shirley Temple.

UMOTYWOWANE OBURZENIE

— I niechże sobie pani wyobrazi, co mój mąż zrobił. Włamał się do skarbonki naszego Wacusia, wyjął pieniądze i przepił.

— Ależ, to oburzające!

— Tak, moja pani. I to akurat zrobił tego dnia, kiedy już byłoby wystarczyło na mój kapelusz.

POPRAWIŁ

W miasteczku P. prawdziwą plagą są psy, rzucające się na przechodniów.

Wskutek interwencji publiczności burmistrz wywiesił następujący napis:

„Kto ma psa i biega nieuwiązany zostanie zastrzelony".

Napis ten wydał mu się jednak trochę niezręczny, więc w 2 dni później zmienił go na inny:

„Kto ma psa i biega nieuwiązany, ten pies zostanie zastrzelony".

PAN SĘDZIA

Słyszałem, że pani dobrodziejka wydała córeszkę za sędziego?

— Tak, proszę pana.

— A z którego sądu?

— Mój zięć bywa zwykle sędzią na meczach piłkarskich.

MATKA

Matka do rozpaczającej córki:

— No, jak widzę z tego, ściskał cię namiętnie... A to łotr! I całował cię tak gorąco. Czekaj, ja już idę do niego! Ciekawa jestem, czy wobec mnie ten łajdak sobie na to samo pozwoli?...

PO KUPIECKU

Icek odwiedza swego wujaszka, który poważnie zapadł na zdrowiu.

— Jak się wujunio potrzebuje czuć? — pyta troskliwie młodzieniec.

— Na moje wrogi takie czucie. Ja czuję, że mnie czas umierać.

— Uj, wypluń wujcio takie słowo! Ile wujaszek ma lat?

— Czterdzieści dziewięć.

— To wujcio może śmiało żyć do stu lat.

— Wariat ty! Myślisz, że Bóg weźmie mnię za sto, jak on może wziąć za pięćdziesiąt.



Przykra, ale skuteczna nauczka.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe Żnin nr. 1.